

Maciej Giertych

# Z nadzieją w przyszłość

Warszawa 2005

© Copyright by Maciej Giertych 2005  
Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

## Dziedzictwo

Mój dziadek, Franciszek Giertych, był w latach 1893-1903 i 1907-1914 dyrektorem fabryki wyrobów metalowych „Poręba” koło Zawiercia. W latach 1903-1907 miał własną fabryczkę w Sosnowcu. Od wiosny 1914 roku do wiosny 1917 pracował na stanowisku dyrektorskim w stoczni w Rewlu (Tallinie) w Estonii, a potem w stoczni w Petersburgu. Był człowiekiem zamożnym. Regularnie opodatkowywał się na Ligę Narodową, płacąc za pośrednictwem swego teścia, Andrzeja Albrechta, członka tej tajnej, trójzaborowej organizacji.

Mój ojciec, Jędrzej, urodził się 3 stycznia 1903 r. w Sosnowcu. W roku 1907 był świadkiem skutecznego napadu bojówki PPS na kasę fabryki „Poręba” pod Zawierciem. Było to w dniu wypłacania pensji pracownikom, w większości prostym robotnikom, których interesów rzekomo bronili socjaliści. Dziadek Franciszek z rewolwerem w ręku ostrzeliwał rabusi z za płotu, a cztero i pół letni Jędrzej obserwował to przez okno. Fabryka popadła w długi. Mój ojciec zapamiętał to wydarzenie na całe życie, wraz z odpowiednią opinią, co do działań PPS-u i wszelkiej maści socjalistów.

Jacek Kuroń z aprobatą opisuje („Wiara i wina, do i od komunizmu”, 1990, str. 6-7), jak to jego stryjeczny dziadek, Władysław Kuroń, pseudonim partyjny „Julek”, działając w okolicach Zawiercia, w ramach rewolucji 1905r., dzielnie zdobywał pieniądze na potrzeby organizacyjne PPS, dokonując tzw. ekspropriacji na burżujach. Robiono napady na karety pocztowe przewożące pieniądze. Czy to akurat jego bojówka okradła kasę fabryki, której dyrektorem był mój dziadek, trudno powiedzieć, ale nie jest to wykluczone. To, co dla Kuronia było dowodem patriotycznego bohaterstwa, dla mojej rodziny było przejawem pospolitego bandytyzmu, zaś dla wielu pracowników fabryki i ich rodzin przyczyną nędzy i krzywdy ludzkiej.

W tym charakterystycznym incydencie z 1907 roku ukazuje się cała przepaść ideologiczna między socjalistami a ruchem narodowym. Socjaliści uważają, że trzeba zabrać bogatym, by mieć na swoją działalność polityczną. Narodowcy zaś uważają, że trzeba sumienną pracą zarabiać na chleb i opodatkowywać się na cele patriotyczne. Nikt nie odmawia bojowcom PPS odwagi i sprawności bojowej. Zapewne większość uczestników tych akcji działała autentycznie z patriotycznym zaangażowaniem, kierując się bezinteresownymi pobudkami. Niestety najczęściej nie rozumiejąc, że tylko taki wysiłek ma wartość dla Polski, który realnie powiększa jej siłę: materialną, intelektualną i duchową.

Franciszek Giertych, pracując w niepodległej Polsce, angażował się w rozwijanie drobnego przemysłu. Pozostały po nim dwie broszury (*O możliwościach, zadaniach i organizacji drobnego przemysłu w Polsce*. Piotrogród 1918, oraz *Czy można uniknąć inflacji?* Warszawa 1932). Jego zmagania gospodarcze opisał syn, Jędrzej, w powieści „W Polsce między wojnami”. Występujący tam Michał Pasek, zaangażowany w rozwijanie przemysłu tkackiego, to w rzeczywistości Franciszek Giertych, zajmujący się przemysłem metalurgicznym.

Mój ojciec, Jędrzej Giertych, śledził wydarzenia I wojny światowej z Rewla, a potem z Petersburga, oczyma zwolennika orientacji anty-niemieckiej. Interesował się

losami korpusu Dowbora i klęską Hallera pod Kaniowem. Rewolucję październikową traktował jako osłabienie Rosji (sam słyszał Lenina przemawiającego z balkonu). Na początku lata 1918 r., czyli już po zawarciu pokoju w Brześciu Litewskim (marzec 1918 r.), ale przed końcem wojny na zachodzie, cała rodzina przeniosła się do Kielc. Tam ojciec jako 15-latek wraz z całym liceum uczestniczył pod koniec października i na początku listopada 1918 r. w rozbrajaniu Austriaków. W roku 1920 jako 17-letni ochotnik uczestniczył w wojnie z bolszewikami, w pięciu bitwach osłonowych, a w Bitwie Warszawskiej został ranny. W maju 1926 r. wspierał obronę rządu przed zamachowcami, służąc jako kurier. We wrześniu 1939 r. jako oficer rezerwy brał czynny udział w obronie Helu. Dostawszy się do niewoli niemieckiej, sześciokrotnie uciekał, ale zawsze ostatecznie został złapany i powracał do niewoli. Wyzwolony przez Amerykanów wrócił do czynnej służby w polskiej marynarce wojennej w Londynie. Po wojnie potajemnie przyjechał do kraju jako kurier rządu emigracyjnego, a także po rodzinę, którą zabrał ze sobą do Londynu.

Trudno więc memu ojcu zarzucić wojskową bierność czy brak odwagi. Zgodnie jednak z ideologią narodową uważał, że nie należy marnować polskiej krwi na eskapady straceńcze. Chwalił powstania zwycięskie (Czarneckiego, Wielkopolskie, Śląskie), ale krytykował powstania z góry skazane na klęskę (Kościuszkowskie, Listopadowe, Styczniowe, Warszawskie). Krytyka ta nie dotyczyła samych powstańców, ale polityków, którzy za ich wywołanie odpowiadają. Zawsze dopatrywał się inspiracji obcych (zewnętrznych), którzy kosztem polskiej krwi próbowali załatwiać swoje interesy. Dotyczy to również takich wydarzeń, jak Wypadki Poznańskie i Październik 1956 r., czy też zapędów konfrontacyjnych Solidarności, stłamszonych stanem wojennym. Stwarzanie kłopotów stronie przeciwnej (strajki, bunt, niepokoje społeczne i dezorganizacja) było stałym elementem zimnej wojny, ale nam, Polakom, udało się nie dopuścić do zbrojnej konfrontacji z Rosją sowiecką, która na pewno skończyłaby się dla nas klęską. Zachodowi przydałaby się ona jedynie do psucia opinii o Rosji w krajach trzeciego świata. Ojciec, jako jeden z nielicznych, głośno o tym mówił i z powodu tych poglądów był wielokrotnie oskarżany o popieranie politycznej bierności czy też o prorosyjskość.

W czasach studenckich mój ojciec jako harcerz był zaangażowany w zakładanie drużyn wśród Polaków za granicą. Jako pracownik MSZ nadal zajmował się Polakami żyjącymi na obczyźnie. Zarówno praca w ZHP, jak i w MSZ, nie pozwalały na przynależność do jakiegokolwiek partii politycznej, ale swoje poglądy ujawniał poprzez pisanie publicystyczne. Z ruchem narodowym sympatyzował od dziecka. W Szkole Nauk Politycznych pisał pracę dyplomową o polityce Dmowskiego w czasie I wojny światowej. Z grupą harcerzy odwiedził Dmowskiego w Chłudowie, który to kontakt potem przerodził się w bliską współpracę i przyjaźń. Gdy w 1932 r. za swoje poglądy został wyrzucony z MSZ, włączył się aktywnie w działalność Stronnictwa Narodowego. Został członkiem jego Rady Naczelnej i Zarządu Głównego, w którym odpowiadał za sprawy zagraniczne. Stał się jednym z głównych publicystów narodowych lat trzydziestych, a po wojnie, na emigracji, niewątpliwie najpłodniejszym i najbardziej znanym.

Dom, w którym się wychowałem (wspominam okres londyński, gdy byliśmy razem), był domem na wskroś narodowym. Polityką i sprawami publicznymi żyło się

na co dzień. To, co się działo w Polsce i ogólnie na świecie, było głównym tematem rozmów. Tzw. „polityką emigracyjną” nie zajmowaliśmy się prawie wcale. Dla ojca, a więc i dla nas, jego dzieci, było zupełnie obojętne, kto jakie funkcje pełni w przez nikogo nie uznawanym „rządzie”. Od dzieciństwa próbowałem pisywać do prasy, redagowałem gazetkę szkolną, harcerską, studencką. W 1956 r. uznałem, że zmiana, jaka się dokonała w Polsce, stwarza warunki, bym powrócił, gdyż jako leśnik mogę równie dobrze służyć lasom polskim, jak i każdym innym. Studia leśne ukończyłem w 1958, ale doszedłem do wniosku, że będę w Polsce mógł więcej zdziałać, jeśli przyjadę z doktoratem. Załatwiłem więc sobie stypendium doktoranckie i jeszcze 4 lata studiowałem w Toronto, w Kanadzie. Tam też włączyłem się w wir polonijnej pracy organizacyjnej, głównie studenckiej, ale nie tylko. Wtedy już regularnie pisywałem do paryskich *Horyzontów*, redagowanych i wydawanych przez Witolda Olszewskiego z grupą narodowców, wśród których mój ojciec był głównym publicystą. Po uzyskaniu doktoratu w 1962 r. wróciłem do Polski.

Przez kilka lat moja działalność narodowa ograniczała się do kolportażu publikacji, głównie *Horyzontów*, i książek wydawanych w Londynie przez ojca. Korzystając z wyjazdów służbowych do rozsianych po Polsce leśnych powierzchni doświadczalnych, odwiedzałem różnych narodowców i zostawiałem to, co udało się sprowadzić z Londynu. Dowożenie odbywało się w prywatnych bagażach przy okazji moich wizyt w Londynie czy też mego rodzeństwa w Polsce. Zajmowałem się też poszukiwaniem, a po znalezieniu przepisywaniem i przekazywaniem do Londynu, pośmiertnej spuścizny Feliksa Koniecznego, którą ojciec tam wydawał. Gdy tylko stało się to możliwe, w 1988 r., zorganizowałem wydanie okolicznościowego numeru *Gazety Warszawskiej*, w którym zaprezentowali się przedstawiciele różnych odradzających się środowisk narodowych. W maju 1989 r., z grupą młodych działaczy narodowych zaczęliśmy wydawać pismo narodowe pt. *Słowo Narodowe*. Duszą inicjatywy był śp. Piotr Piesiewicz, ja zaś rzecz całą firmowałem jako redaktor.

W 1989 r. zostało reaktywowane Stronnictwo Narodowe (SN) przez przedwojennych członków. Równocześnie mój syn Roman, student pierwszego roku historii na Uniwersytecie A. Mickiewicza w Poznaniu, reaktywował Młodzież Wszechpolską (MW).

Po pewnym czasie emigracyjni londyńscy działacze Stronnictwa Narodowego nie zadowoleni, że bez ich udziału reaktywowano Stronnictwo w Kraju, przenieśli swoje pismo *Myśl Polską* do Warszawy i zarejestrowali konkurencyjne Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne (SND). Było to zupełnie niezrozumiałe dla trzech pokoleń Giertychów (Jędrzeja, Macieja i Romana), którzyśmy zgodnie poparli krajowe SN (wtedy nazwane senioralnym, gdyż to seniorzy je reaktywowali). Ja zostałem przewodniczącym jego Rady Naczelnej, a nieco później Roman został wybrany na wiceprezesa Zarządu Głównego. Z czasem wpływ londyńczyków oraz krajowych seniorów malał. W grudniu 1999 r. nastąpiło połączenie SN i SND z zachowaniem nazwy SN i naszych w nim funkcji.

Tymczasem historia lubi płać figle. Pojawiła się okazja zaistnienia politycznego, ale w nieco innej formule, pod nazwą Liga Polskich Rodzin (LPR). Wykorzystano więc nie wyrejestrowane jeszcze SND, zmieniając mu władze i nazwę na LPR. Po wejściu do Sejmu LPR stała się głównym terenem działania narodowców. Dlatego też, by nie dublować członkostwa partyjnego, przekształcono SN z partii

politycznej w stowarzyszenie. Nasza – moja i Romana – obecna rola w ramach LPR jest powszechnie znana. Stanowi ideologiczną, programową, formalną i organizacyjną kontynuację ruchu narodowego, funkcjonującego w polskim życiu politycznym od początków lat dziewięćdziesiątych XIX wieku. Kontynuacja nie oznacza jednak zasklepienia się w przeszłości. Konieczne jest wprowadzanie zmian wynikających z bieżącej sytuacji politycznej i stałe poszukiwanie nowych, aktualnych rozwiązań.

Czym jest ruch narodowy? Czym różni się od innych formacji politycznych? Na czym polega jego specyfika?

Wiele jest dzisiaj partii w Polsce, po których nie bardzo wiadomo, czego się można spodziewać: albo są nowe, albo efemeryczne, albo kanapowe, albo zrywają z przeszłością. Ruch narodowy ma za sobą przeszło stuletnią tradycję. W roku 1893 Roman Dmowski powołał do istnienia tajną Ligę Narodową. Z niej wywodziło się szereg partii we wszystkich zaborach, określanych ogólnie mianem Narodowej Demokracji (ND, „endecji”). W Polsce niepodległej najpierw był Związek Ludowo-Narodowy, a od roku 1928 Stronnictwo Narodowe. Jego reaktywacja w roku 1989 została dokonana przez przedwojennych działaczy w oparciu o przedwojenny statut. Posiadało więc ciągłość ideową, organizacyjną i personalną. Formalne władze SN znajdowały się nieprzerwanie na emigracji aż do chwili przeniesienia ich do Kraju - przejściowo do konkurencyjnego SND. Odradzenie się ruchu narodowego w nowej rzeczywistości nie odbyło się niestety bez personalnych przepychanek, ale te udało się szczęśliwie wyjaśnić i zakończyć. Najważniejszy jednak jest fakt, że mamy ciągle tę samą ideę i ten sam program. Nie wstydzimy się swojej przeszłości. Nie zrywamy z nią.

Jest szereg zasad programowych, które niezmiennie obowiązują od 112 lat.

Ruch narodowy określa siebie jako „wszechpolski”. Sto lat temu oznaczało to, że ma jedną i tę samą politykę dla wszystkich zaborów, dla wszystkich dzielnic Polski, jak również dla emigracji. Łączy się z tym działanie we wszystkich warstwach społecznych. Nie jesteśmy partią robotników, chłopów, rencistów czy policjantów. Szukamy takich rozwiązań politycznych, które byłyby dobre dla wszystkich Polaków. Nie jesteśmy też partią skoncentrowaną na jednej sprawie, jak np. zieloni, monarchiści, partia dobrobytu itd. Nic, co polskie, nie jest nam obce.

Swoje programy wywodzimy z myślenia rodzinnego. Dla nas Naród to wielka rodzina. W rodzinie trzeba równocześnie myśleć o wszystkich i o wszystkim. O dzieciach, o małżonkach, o rodzeństwie, o dziadkach..., o bycie materialnym, o wykształceniu, o zdrowiu, o pobożności, o higienie, o manierach... Na wszystko musi starczyć czasu, siły i środków. Posiadane siły, środki i czas tak trzeba dzielić, żeby o niczym i nikim nie zapomnieć, roztropnie, sprawiedliwie, sumiennie, po gospodarsku. Tak samo w Narodzie. O wszystkich Polakach i o wszystkich polskich sprawach trzeba myśleć równocześnie. Oznacza to ciągle weryfikowanie i aktualizowanie programu stosownie do zaistniałej sytuacji, do konkretnych pojawiających się potrzeb.

To myślenie o własnym narodzie nie oznacza zagrożenia dla sąsiednich narodów, tak jak troska o własną rodzinę nie stanowi zagrożenia dla sąsiadów. Często oskarżani jesteśmy o nacjonalizm. Myśl narodowa została sformułowana wcześniej, nim pojawił się termin nacjonalizm, rozumiany jako dążność do wzbogacania się kosztem innych narodów. W myśleniu narodowym nic takiego nie występuje i nigdy

nie występowało. Okradanie sąsiadów nie należy do cnót rodzinnych. Tak samo żerowanie na innych narodach nie należy do cnót narodowych. Swojej rodziny nie wolno zaniedbywać. Nie wolno też zaniedbywać troski o własny Naród. Troska o inne rodziny ma znaczenie wtórne w stosunku do troski o własną rodzinę, podobnie jak troska o sprawy międzynarodowe jest wtórna w stosunku do troski o własny Naród.

Chcemy budować materialną, intelektualną i duchową siłę Polski, ale w oparciu o własne, polskie siły. Wierzymy w Polskę, wierzymy w Naród polski. Wierzymy, że stać nas na to, by własnym wysiłkiem podnieść się z upadku. Natomiast nie wierzymy w dobre intencje „sił niepolskich”, zagranicznych, czy międzynarodowych. Realizują one przede wszystkim swoje interesy, często naszym kosztem.

Do stałych trosk ruchu narodowego należy walka o niezależność polityki polskiej od „sił niepolskich”. Od pokoleń przez jawne i tajne kanały polityka polska uzależniana jest od obcych, zewnętrznych ośrodków decyzyjnych, przez co nie jest w pełni suwerenna. Uważamy za konieczne demaskowanie wszystkich tych nieformalnych powiązań i uzależnień oraz dążenie do ich minimalizacji. Nie odpowiada nam rola wasala, satelity, petenta czy najemcy. Nie akceptujemy lokowania ośrodków decyzyjnych w sprawach Polski na Kremlu, w Berlinie, Brukseli czy Waszyngtonie. Chcemy, by znalazły się one w Polsce. Chcemy, by były jawne i by Naród polski miał na nie wpływ. Obawiamy się Unii Europejskiej, stanowiącej załączek Stanów Zjednoczonych Europy czy Republiki Federalnej Europy. Kiedyś i tak się rozpadnie, jak Czechosłowacja, Jugosławia czy ZSRR - narody europejskie nie wytrzymują centralnego sterowania. Nie po drodze nam z tymi, co rezygnują z własnej suwerenności.

Do trwałego dorobku myśli narodowej należy tzw. geopolityka. Roman Dmowski zachęcał do studiowania spraw międzynarodowych i dostosowywania polityki polskiej do istniejącej koniunktury politycznej. Polityka to sztuka osiągnięcia tego, co jest możliwe do osiągnięcia, i nie marnowania sił na rzeczy niemożliwe. Oznacza to, że nieraz najszluszniejszą polityką jest czekać, trwać. To wcale nie oznacza bierności, wręcz przeciwnie! Trzeba cały czas przygotowywać się, gromadzić siły i wykorzystywać je wtedy, gdy pojawi się odpowiednia koniunktura. Na tym polega dobra geopolityka – na umiejętności rozpoznania czasu sprzyjającej koniunktury. Stąd też w ruchu narodowym stale dyskutuje się o sytuacji międzynarodowej i wyciąga wnioski dotyczące spraw polskich. Trzeba wiedzieć nie tylko, to co jest słuszne, ale również, to co jest realne i osiągalne.

Wielu dziwiło się, że Dmowski proponował współpracę z Rosją, i to w czasach po Powstaniu Styczniowym, gdy nastroje w społeczeństwie polskim były mocno antyrosyjskie. Sam miał tak wielką awersję do Rosji, że pomimo tego, iż znał rosyjski doskonale, po odzyskaniu niepodległości do końca życia odmawiał posługiwania się tym językiem. Oceniał jednak, że – aby Polska była naprawdę niepodległa – nie wystarczy Rosji odebrać jakąś prowincję. Należało zdobyć ujście Wisły, a do tego trzeba powalić na kolana Prusy. Tego Polska sama nie zrobi. Musi więc wspierać konflikty rosyjsko-niemieckie i czekać na konfrontację między nimi, a gdy już do niej dojdzie – poprzeć Rosję tak, by doprowadzić do klęski Niemiec. Dopiero przegrana Niemiec w I i II wojnie światowej dała nam solidne oparcie o morze i warunki do prawdziwie niepodległego bytu. Co prawda, długo musieliśmy się później wyzwalać spod dominacji Rosji, ale potrafiliśmy to zrobić nie tylko pokojowo, ale i skutecznie.

Nie chodzi tu tylko o rok 1989, ale i kolejne etapy wyzwalań się, takie jak: obrona prywatnej własności rolnej przed kolektywizacją, obrona miejsca i roli Kościoła w naszym życiu – i to nie tylko społecznym (*non possumus* prymasa Wyszyńskiego), odmowa uczestniczenia w radzieckich wojnach kolonialnych w Angoli czy Nikaragui, tolerowanie prywatnej inicjatywy itd.

Również dzisiaj musimy oceniać, który sąsiad potencjalnie może być większym źródłem zagrożenia dla naszej suwerenności, i przeciw niemu właśnie oraz jego ewentualnym zakusom montować szerszy opór międzynarodowy. Szukanie, stwarzanie i wykorzystywanie koniunktury międzynarodowej to jedno z głównych zadań naszej polityki. Sentymenty i nastroje trzeba urabiać, a nie poddawać się im biernie.

Narodowcy zawsze stali na gruncie wierności nauce Kościoła Katolickiego i dążyli do tego, by ład publiczny w państwie polskim oparty był na etyce katolickiej. „Katolicyzm nie jest dodatkiem do polskości, (...) ale stanowi jej istotę” – napisał R. Dmowski. Nie jesteśmy jednak partią wyznaniową, jak różnego rodzaju chadecje. Zachowujemy niezależność wobec polityki Kościoła, nieraz występując przeciw niej. Gdy członek Ligi Narodowej Wojciech Korfanty został w 1903 roku posłem ze Śląska do Reichstagu, startował przeciwko kandydatowi katolickiej partii Centrum, popieranej przez Kościół. W czasie I wojny światowej Watykan zalecał Dmowskiemu, by zaniechał marzeń o niepodległej Polsce i trzymał się katolickiej Austrii. Dmowski jednak działał na rzecz rozpadu Austro-Węgier na państwa narodowe. Abp Aleksander Kakowski współpracował z okupacją niemiecką w ramach Rady Regencyjnej, a jego diecezjanin, Roman Dmowski, współpracował z Ententą, dążąc do klęski Niemiec. Publicznie krytykowaliśmy Kościół za popieranie (m.in. wpuszczanie na ambonę) działaczy KOR-u. Również w sprawie wejścia Polski do Unii Europejskiej byliśmy poniekąd po przeciwnych stronach. Nasza postawa wierności wobec nauki Kościoła, w połączeniu z niezależnością polityczną, ma też swoją wartość dla Kościoła, bo służąc mu, nie obciążamy go naszymi ewentualnymi błędami i nie angażujemy jego autorytetu do naszych świeckich przecież działań.

Często słyszę pytanie o nasz program gospodarczy. A jaki program gospodarczy miało Stronnictwo Narodowe w czasach II Rzeczypospolitej? Nie było spisanego programu, ale była myśl narodowa także w sprawach gospodarki. Uzdrowienie gospodarki nastąpiło, gdy narodowcy byli u władzy. Takie nazwiska, jak: Władysław Grabski, Jerzy Zdziechowski, Roman Rybarski, Adam Doboszyński, na trwałe zapisały się w historii polskiej myśli ekonomicznej. Nieraz mieli oni przeciwstawne poglądy, ale wszyscy wypracowywali je w ogniu walki o polską gospodarkę. W ten sposób powstaje zaangażowanie i wykuwa się program narodowców w wielu dziedzinach - w ogniu polemik, sporów i dyskusji, którym zawsze przyświeca troska o interes Narodu i państwa polskiego.

Szanujemy własność prywatną i domagamy się reprivatyzacji, gdzie jest to tylko możliwe, poprzez zwrot mienia, a nie poprzez papiery wartościowe. Jednak ziemi nadanej w wyniku przeprowadzenia reformy rolnej nikomu odbierać nie wolno. Im więcej będzie właścicieli nieruchomości, tym zdrowszym będziemy społeczeństwem. Dlatego sprzeciwiamy się takim pomysłom jak podatek katastralny. Im więcej będzie samozatrudniających się osób, tym bardziej będziemy niezależni,

bardziej zaradni. Cenimy wolny rynek i pragniemy, by we wszystkich dziedzinach wpływów państwa było jak najmniej, tzn. jak najmniej „państwowego opiekuństwa”. W naszym myśleniu jednak obowiązuje prymat polityki nad gospodarką. Są pewne sprawy nadrzędne. Skoro co jakiś czas stajemy w obliczu zagranicznych sankcji, musimy starać się być samowystarczalni w dziedzinie żywności. To najważniejszy warunek samodzielności. Oznacza to konieczność państwowego wsparcia dla rolnictwa, by nie upadło pod naporem zagranicznej, nieuczciwie i „nie wolnorynkowo” dotowanej konkurencji. Tu znajdujemy płaszczyznę porozumienia z ludowcami. Zagrożenie militarne wymaga, byśmy mieli silną armię i jak największą zdolność do samodzielnego jej zaopatrzenia. Stąd konieczność państwowego wsparcia dla przemysłu zbrojeniowego. Chcemy bezpieczeństwa wewnętrznego, a więc sprawniejszej policji i sądownictwa oraz surowszych praw, tak, by przestępcy się bali, a ludzie prawi czuli się bezpiecznie. Siła narodu zależy od prężności demograficznej. Konieczna jest więc pronatalistyczna polityka państwa, w tym przede wszystkim podatkowa. Chcemy dobrego wychowania młodego pokolenia, dlatego zależy nam, by matka jak najwięcej czasu spędzała w domu. Zamiast finansować bezrobocie, lepiej zadbać o obecność mam w domach, a więc doprowadzić do takiej sytuacji, by ojciec sam był w stanie utrzymać rodzinę. Nie oznacza to, że sprzeciwiamy się pracy kobiet w sytuacjach, gdy pracują zarobkowo z własnej woli, a nie z ekonomicznego przymusu. Chcemy zdrowej rodziny, zatem ku niej chcemy kierować zainteresowanie państwa. Uważamy, że państwowe wsparcie ofiar sytuacji patologicznych tylko wzmacnia ich powszechność. Stąd chcemy, by było ono wtórne w stosunku do wspierania rodziny zdrowej.

Tak wyglądają nasze priorytety, a dostępne i prowadzące do tego środki dzielić i wykorzystywać trzeba rozsądnie, konsekwentnie, po gospodarsku.

Popieramy tradycyjną polską tolerancję wobec wszelkich mniejszości narodowych i wyznaniowych. Akceptujemy przyjmowanie różnych azylantów i uciekinierów, pozwalając im zarówno na zachowanie własnej tożsamości, choćby przez wieki, jak i na pełne zintegrowanie się z nami.

Oto w największym skrócie podstawy naszego myślenia o polityce. Czasy się zmieniają, otoczenie się zmienia, przychodzą nowe pokolenia, ale w ruchu narodowym sposób myślenia pozostaje ten sam. Myśl narodowa, przenoszona z pokolenia na pokolenie, stanowi o sposobie myślenia milionów Polaków. Jest ona bowiem naszym narodowym dziedzictwem.



## Osoba – rodzina – naród

Wychowani jesteśmy w duchu personalistycznym. To element naszego chrześcijańskiego dziedzictwa. W centrum zainteresowania musi być człowiek ze swoimi problemami. Jeżeli ktoś uważa, że najważniejsze jest państwo, Europa, solidarność międzynarodowa, społeczeństwo, gospodarka, kultura, to się myli. Wszystkie te instytucje, dziedziny, ideologie, mają służyć człowiekowi, a nie odwrotnie. Jeżeli nie służą człowiekowi, to nie tylko są niepotrzebne, ale stają się szkodliwe, szkodliwe dla człowieka. Nabierają charakteru tyranii.

Człowiek żyje w rodzinie i powinien w rodzinie umierać. Gdy człowiek zostaje poczęty, rodzi się, wychowuje, żyje czy umiera poza rodziną, to jest to sytuacja patologiczna. Chodzi o to by patologii było jak najmniej. Gdy rodzina sobie nie radzi, gdy napotymane problemy ją przerastają, konieczna staje się pomoc zewnętrzna, dalszej rodziny, sąsiadów, parafii, instytucji społecznych, wreszcie państwa czy nawet instytucji międzynarodowych. Niestety pomoc uzależnia. Dlatego też winna mieć charakter doraźny i jak najszybciej powinno się ją wycofywać. Jej głównym zadaniem jest ułatwienie rodzinie odzyskania zdolności do niezależnego i samodzielnego funkcjonowania.

Podstawowym warunkiem normalnego funkcjonowania rodziny jest posiadanie mieszkania. Bardzo wiele patologii rodzinnych pochodzi właśnie z braku samodzielnego mieszkania. W dobrze zorganizowanym społeczeństwie każda para małżeńska winna rozpoczynać swe wspólne życie we własnym, niezależnym mieszkaniu. Wraz z powiększaniem się rodziny rosną potrzeby mieszkaniowe i te potrzeby też muszą być sukcesywnie zaspokajane. Gdy dziadkowie już nie są zdolni samodzielnie funkcjonować, powinni znaleźć dla siebie miejsce w domach czy mieszkaniach dzieci i tam przeżyć resztę swoich dni. Gdy rodzina ma dodatkowo ogródek czy działkę, to ma nie tylko gdzie wypocząć, gdzie wyhodować własne warzywa i owoce, ale i gdzie uczyć dzieci związku między pracą a plonem, uczyć przyrody, uczyć współdziałania dla dobra wspólnego. Winniśmy dążyć do tego, aby każda rodzina mogła w takim domu funkcjonować. Życie zbiorowe trzeba tak zorganizować, by było to możliwe.

Aby taki dom rodzinny był prawdziwym ogniskiem domowym, musi w nim stale ktoś być. Musi być stale czynny. Wtedy zawsze jest do czego i kogo wracać. Dzieci wracają ze szkoły prosto do domu, zarabiający wracają prosto z pracy. Wtedy jest dużo mniej patologii. Państwo ma mniej problemów ze złóbkami, poprawczakami, więzieniami, alkoholizmem, narkomanią, prostytutką, domami starców. Jest absurdem dzisiejszych czasów, że z jednej strony jest coraz mniej pracy, coraz większe bezrobocie, a z drugiej – potrzeba dwóch pensji, by starczyło na dom i utrzymanie rodziny. To koniecznie trzeba zmienić. Trzeba przenieść finansowanie bezrobocia na finansowanie rodziny poprzez odpowiednie upusty podatkowe i zasiłki rodzinne. W sumie będzie taniej, bo zmaleją koszty borykania się z patologiami i koszty pomocy społecznej.

Naród to rodzina rodzin, to szersza rodzina. To ci wszyscy, których łączy wspólna historia, wspólny język, wspólne miejsce na ziemi, czyli Ojczyzna, wspólna kultura, a w szczególności wspólna literatura piękna. Szekspir, Balzak czy Dante to autorzy innych narodów, choćbyśmy nie wiem jak ich lubili. Kochanowski,

Mickiewicz czy Sienkiewicz to nasi twórcy. Nigdy nie będę tak reagował na zwycięstwo Europejczyka, jak reaguję na zwycięstwa Małysza. Jestem dumny z tego, co w moim narodzie jest wielkie, ale i wstydę się tego, co jest w nim marne czy podle. Naród to wspólnota naturalna, tak jak rodzina. Nie wybierałem sobie narodu ani rodziny. Urodziłem się w danej rodzinie, w danym narodzie i to determinuje, kim jestem.

Narodowi potrzebne jest zorganizowanie zbiorowej struktury. Potrzebna jest jakaś hierarchia, władza i zbiorowa siła. Tą organizację stanowi państwo – własność danego narodu. Tak przynajmniej jest w ramach naszej europejskiej cywilizacji. Gdzie indziej spina państwo władca (Rosja, Azerbejdżan), religia (Iran, Izrael), system kastowy (Indie) czy szczepowy (Afryka). W Europie to narody tworzą państwa. Państwo jest wyrazem woli narodu do istnienia i funkcjonowania we wspólnej strukturze organizacyjnej. Ponadto istnieje ono z woli narodu i jemu też podlega.

Powierzamy państwu zarobione przez nas pieniądze (podatki), by z ich pomocą finansowało sprawy wymagające zbiorowego załatwienia. System społeczno-ekonomiczny musi być tak zorganizowany, by podatki były jak najmniejsze, czyli, żebyśmy jak najwięcej spraw załatwiali sobie sami, bez ingerencji państwa. Jednakże zawsze będą sprawy, które tylko struktura państwowa będzie w stanie skutecznie załatwić. Ta skuteczność wymaga, by państwo posiadało potrzebną do tego siłę, by mogło przymusić opornych. Ale państwo posiada siłę nie po to by bronić siebie przed obywatelami, ale po to, by bronić obywateli przed zagrożeniami, np. przed bandytyzmem wewnętrznym (policja) i zewnętrznym (wojsko). Użyczamy państwu siły, aby chroniło nasz naród, nasze rodziny i każdego z nas z osobna.

Są sprawy wymagające porozumień międzynarodowych, wysiłku zbiorowego kilku państw. Temu służą sojusze wojskowe (np. NATO), organizacje międzynarodowe (np. Rada Państw Bałtyckich, Interpol, ONZ) czy też porozumienia dwustronne (np. w sprawie budowy mostu granicznego). Zadaniem tych organizacji i porozumień jest służenie w danej sprawie określonym społecznościom.

Można by zapytać: w jakich sprawach Unia Europejska służy, człowiekowi, rodzinie, narodom? Jeżeli nie jest jasne, komu i czemu tak naprawdę służy, to jest organizacją zbędną, a może nawet z czasem przerodzić się w tyranie

## Pomocniczość

W naszym myśleniu obowiązuje zasada pomocniczości. Instytucje samorządowe, państwowe czy międzynarodowe nie powinny ingerować w dziedziny, nad którymi ludzie potrafią zapanować samodzielnie. Ingerencja jest potrzebna na tym polu, gdzie człowiek, rodzina, naród sam sobie nie radzi. Z jednej strony będzie to interweniowanie, by zapobiegać lub przeciwdziałać krzywdzie ludzkiej, a z drugiej – organizowanie spraw wymagających zbiorowego zaangażowania. Chodnik od chaty do drogi każdy może zrobić sobie sam lub w ogóle zrezygnować z posiadania go, ale aby powstała droga, musi już być zbiorowe porozumienie i wspólne pokrycie kosztów jej powstania. Im większa, lepsza i trwalsza droga, tym więcej kosztuje i stanowi większy wysiłek organizacyjny. Czasami potrzebne są uzgodnienia i finansowanie ze źródeł międzynarodowych, gdy droga przekracza granice lub gdy dana autostrada ma służyć transportowi wielu krajów. Te wyższe instancje organizacyjne są potrzebne na miarę spraw, których mają dotyczyć. Gdy instancje międzynarodowe chcą decydować o kształcie płytek chodnikowych na moim podwórku, to mam prawo uznać to za gwałt na mojej wolności, za nieuzasadnioną ingerencję, za rodzaj tyranii. Ale jeżeli taka ingerencja jest konieczna, to trzeba sprawę tak uzasadnić, by zainteresowany sam uznał jej słuszność. Mnie się może wydawać, że pokruszone stare płyty eternitowe będą się nadawały na chodnik przed moim domem. Tymczasem są one z azbestu, a dzisiaj już powszechnie wiadomo, że wdychanie azbestu jest szkodliwe dla zdrowia. W związku z tym ingerencja państwa czy nawet instytucji międzynarodowych w budowę mojego chodnika może być w pełni uzasadniona, w moim własnym interesie czy też w interesie moich gości i sąsiadów, którzy mogliby azbest z uszczerbkiem dla swego zdrowia wdychać. Jeżeli ta interwencja ze szczebla wyższego, niejako z zewnątrz, jest w interesie człowieka, rodziny, narodu, to jest nie tylko do zaakceptowania, ale nawet może być przyczyną uzasadniająca zastosowanie przymusu.

Zasada pomocniczości, dzisiaj modnie określana zasadą subsydiarności, to hasło często stosowane i nadużywane do uzasadnienia różnych działań Unii Europejskiej. Rzekomo chodzi w niej o dowartościowanie samorządów. Zgodnie z nauką społeczną Kościoła pomocniczość polega na tym, że to, co się da, powinno być załatwiane na najniższym szczeblu organizacyjnym. Rodzina niech załatwia swoje sprawy, a gmina niech się niepotrzebnie nie wtrąca. Gmina niech załatwia swoje sprawy, a powiat niech się niepotrzebnie nie wtrąca. Powiat niech załatwia swoje sprawy, a województwo niech się niepotrzebnie nie wtrąca, itd. Otóż podstawowy problem polega na tym, co jest, a co nie jest wtrącaniem się niepotrzebnym.

Jeżeli u sąsiadów są stale kłótnie, wtrącać się, czy nie? Wzywać policję, czy nie? Zwykle staramy się nie wtrącać. Ale w momencie, gdy dochodzi do pijackich zbrodni, to jest już za późno. I wtedy powstaje pytanie, gdzie byli sąsiedzi, gdzie policja, czy nikt nie wiedział, że w tamtej rodzinie źle się działo? Czemu nikt nie zdobył się na interwencję? To samo dotyczy większych zbiorowości. Może są gminy, które zupełnie sobie nie radzą. Może są województwa bezradne w obliczu jakichś klęsk. Jest pewna granica zachowań czy stanów dezorganizacji, która nie pozwala sąsiadom stać obojętnie, która wymaga interwencji z zewnątrz, interwencji, która polegałaby na przyjsciu z pomocą – stąd termin pomocniczość.

Termin subsydiarność, pochodzący z łaciny, ma ten sam trzon, co słowo subsydium, czyli pomoc. Ale w języku angielskim wyraz „subsidiary” oznacza także „podrzędny”. I to raczej w tym drugim znaczeniu słowo to pojawia się w nowomowie Unii Europejskiej. W imię tej zasady Unia Europejska chce się wtrącać w coraz więcej dziedzin, i to wtrącać nachalnie, z całym arsenałem środków przymusu. Musimy stawiać opór ingerencjom zbędnym.

Z zagadnieniem tym łączy się inny temat. Planowana struktura przyszłego państwa europejskiego, republiki federalnej Europy, ma się składać z centrali w Brukseli i w miarę samodzielnych regionów, czyli ma funkcjonować na wzór Republiki Federalnej Niemiec, gdzie landy mają sporą dozę niezależności, a sprawy najważniejsze lub wspólne załatwia rząd federalny. Dlatego też dąży się do kreowania regionów o rozmiarach mniej więcej odpowiadających niemieckim landom. Namawia się te regiony, by powoływały w Brukseli swoje przedstawicielstwa, z zadaniem załatwiania w centrali spraw ich dotyczących, z pominięciem właściwego państwa narodowego. Wkrótce rządy narodowe mają stać się niepotrzebne. Będzie rząd federalny w Brukseli i regiony. Wiadomo – małymi łatwiej się rządzi. Jest to polityka z założenia antynarodowa. Niby głosi się troskę o różne mniejszości narodowe, regionalne różnicowania, historyczne i tradycyjne odrębności, ale w rzeczywistości chodzi o likwidację państw narodowych. Zasadę pomocniczości wykorzystuje się do tego celu, rozumiejąc ją jako pomoc czy ingerencję unijnej centrali, skierowaną bezpośrednio do regionów.

Otóż zasada pomocniczości winna dotyczyć również państw. Instytucja międzynarodowa nie powinna ingerować w sprawy, które państwa z powodzeniem załatwiają we własnym zakresie.

Polskę szczególnie trudno podzielić na regiony. Z zaludnienia naszego kraju wynika, że dla osiągnięcia odpowiednio małych, ale nie za dużych jednostek potrzeba nas podzielić na około 12 regionów. Temu służyła likwidacja 49 województw i szukanie takiego podziału kraju, by uzyskać regiony o rozmiarach odpowiadających „normom europejskim”. W wyniku oporu sił lokalnych powstało 16 województw, a więc trochę za dużo. Unia Europejska żąda, by dla celów statystycznych kilka województw połączyć, ponieważ chce dane statystyczne ogłaszać dla 12 regionów. W ordynacji do Parlamentu Europejskiego wymyślono podział kraju na 13 okręgów wyborczych. Powstała z naszego polskiego punktu widzenia zupełna fikcja, że poseł do Parlamentu Europejskiego reprezentuje jakiś region. Próbowaliśmy przeforsować zasadę, że okręg jest jeden – Polska. Wtedy każdy poseł czułby się odpowiedzialnym za całość spraw polskich. My, posłowie Ligi Polskich Rodzin do Parlamentu Europejskiego, tak właśnie rozumiemy nasz mandat - troska o sprawy całej Polski. Ale ponoć nie tak mamy funkcjonować w Unii Europejskiej. Mamy się przyzwyczajać do Europy Regionów.

Wróćmy jednak do tematu pomocniczości w ujęciu wewnętrznym – w naszym kraju. Zgodnie z prawem naturalnym chcielibyśmy tę zasadę wprowadzać w życie, czyli ograniczyć do minimum ingerencję państwa w życie lokalne. Trzeba pozwoić samorządom, by rzeczywiście same się rządziły. W tym celu muszą mieć odpowiednie do swoich zadań środki finansowe. Chodzi o to, by proporcjonalna do zadań część wpływów podatkowych zbieranych na danym terenie zostawała do lokalnego wykorzystania. To żadna łaska ze strony państwa czy rządu, że takie środki przyznaje.

Powinno być odwrotnie. Ustalona część środków zebranych na dole winno się przekazywać do szczebla wyższego, aby załatwiał sprawy, których lokalnie samorządy nie są w stanie załatwić same. Dotyczy to też środków przeznaczonych na wyrównywanie różnic w rozwoju gospodarczym między poszczególnymi regionami kraju.

Ta ogólna zasada natrafia jednak na problem wspomniany wyżej - projekt likwidacji rządów narodowych. Chcąc bronić potrzeby istnienia rządów państw narodowych, nie możemy nadmiernie ograniczać ich kompetencji. W tej chwili są one z jednej strony pozbawiane tych kompetencji, które przechodzą do Unii Europejskiej, a z drugiej zaś rekomenduje się, w imię pomocniczości, przekazywanie ich samorządom. I tak słuszna zasada działająca w jedną stronę (od państwa do samorządów), w połączeniu z jej zaprzeczeniem w drugą (od Unii do państwa), powoli prowadzi do likwidacji rządów narodowych. Aby chronić zasadę posiadania własnego rządu narodowego, z liczącymi się kompetencjami, wyhamowuje się proces przekazywania zbyt wielu kompetencji do samorządów. I tak, nie potrafiąc się bronić przed uzurpacją kompetencyjną Unii Europejskiej, pozwalamy państwu uzurpować kompetencje samorządów. W ten sposób ograniczamy proces nie tylko zgodny z prawem naturalnym, ale również jak najbardziej naturalny dla naszej cywilizacji i historycznej tradycji. Nasza siła zawsze polegała na zdolności do oddolnego samoorganizowania się, do improwizacji, do działania twórczego, bez oglądania się na instrukcje płynące z góry, bez których w takiej np. Rosji, kraju cywilizacji turańskiej, nic sensownego zrobić się nie da.

Na umniejszanie kompetencji rządu pozwolić nie możemy. By się przed takim procesem bronić, zamiast ograniczać kompetencje samorządów, musimy odzyskiwać kompetencje nieroztropnie przekazane Unii Europejskiej. Trzeba się przygotować do blokowania dalszego postępu centralizacji w Unii Europejskiej. Wiele spraw pochodzących z Unii jest sensownych i nadaje się do zastosowania u nas. Na przykład wymóg likwidacji wyrobów z azbestu i utylizacji ich w sposób nieszkodliwy dla środowiska jest ze wszech miar słuszny. Musimy to zrobić w imię słuszności sprawy, nawet podpisując odpowiednie konwencje międzynarodowe tego tematu dotyczące, ale nie jako obowiązek wynikający z unijnych dyrektyw. Nie chcemy się izolować od świata i żyć w zacofaniu, ale chcemy być wolni i nie możemy pozwolić, by Unia dyktowała naszym samorządom, z pominięciem szczebla państwowego, co mają robić.

Przy omawianiu tej kwestii pojawia się też inna sprawa. Województwa załatwiają różne sprawy z gminami z pominięciem powiatów. Wskazuje to na zbędność szczebla powiatowego. Wobec tego postulowałbym likwidację powiatów. Bez bólu można by przekazać kompetencje powiatów częściowo województwom, a częściowo gminom. Powiaty można by zachować jako formę współpracy czy samoorganizowania się gmin, jeżeli tego chcą i na ich koszt, ale bez odrębnego szczebla samorządowego. Czyli proponuję ten sam mechanizm, do którego zmierza Unia Europejska, prowadząca do uwiądnięcia rządów państw narodowych. Jest jednak zasadnicza różnica między powiatami a państwami. Rząd państwa potrzebny jest jako strażnik naszej suwerenności, natomiast poszczególne szczeble władzy samorządowej to tylko narzędzia organizacji życia zbiorowego. Możemy je modelować dowolnie w zależności od potrzeb i stopnia skomplikowania spraw przewidzianych do załatwienia na szczeblu samorządowym.

Patriotyzm gminny, powiatowy czy wojewódzki wobec tak zwanych małych ojczyzn to zupełnie inna ranga więzi zbiorowej niż patriotyzm ukierunkowany na Polskę, naszą „dużą” Ojczyznę. To chyba oczywiste! Natomiast zjednoczona Europa, mimo licznych zabiegów unijnych aparaczyków, nigdy takiej więzi, takiej lojalności u swoich obywateli nie wykrzesze.

## Demokracja dzisiaj

Wszyscy powtarzają stwierdzenie Churchilla, że „demokracja to bardzo zły system, ale nikt nie wymyślił lepszego”. Nie zmienia to faktu, że trwają poszukiwania doskonalszego systemu. Demokracja wyraźnie znajduje się w głębokim kryzysie.

### *Ewolucja demokracji*

Jesteśmy krajem, w którym demokracja zakorzeniona jest od wieków. Zaczęło się od wyboru Jagiełły na króla Polski. Dokonali tego panowie małopolscy. Oferta była nie byle jaka: – władztwo nad potężnym państwem, a do tego młoda i słynąca z piękności Jadwiga jako żona, – dziś już wiemy, że miała to być żona święta. Ale były też warunki. Jagiełło musiał się ochrzcić i obiecać przeprowadzenie chrztu swego dotychczasowego dziedzictwa, czyli Litwy. Musiał także zgodzić się na ograniczenie swoich uprawnień władczych, na zasadę *neminem captivabimus nisi iure victum* (nikogo nie uwięzimy o ile nie będzie prawem skazany), czyli zrezygnować z władzy absolutnej, którą cieszył się na Litwie. Polska weszła na drogę demokracji, drogę zależności władcy od wyborców. Władza stała się przedmiotem umowy między władcą a jego wyborcami. Grono wybierających było niewielkie: grupa najwyższej arystokracji. Do dziś podziwiamy ich mądrość nie tylko w podjętej decyzji o wydaniu Jadwigi za Jagiełłę, ale i w dalszych ich działaniach u boku nowego króla.

Często niesłusznie traktujemy cały okres panowania Jagiellonów jako rezultat tej jednej decyzji związanej z wyborem Jagiełły. Wybór był dożywotni, ale nie obejmował następców. Nie było oczywiste, że po śmierci Jagiełły królem musi zostać jego syn. Wymagało to ponownej decyzji wyborców. Królem najczęściej zostawał najstarszy syn, ale nie zawsze. To nie najstarszy syn Kazimierza Jagiellończyka, Władysław, został królem Polski. Zygmunt Stary, obawiając się, że jego syn, Zygmunt August, może nie zostać wybrany, zaaranżował jego elekcję jeszcze za swego życia (stąd przydomek Stary dla odróżnienia od młodego króla Zygmunta). Każdej elekcji towarzyszyła nowa umowa władcy z wyborcami. W ten sposób z każdą elekcją rosła liczba praw ograniczających władzę króla i przywilejów dla wyborców. Rosło również grono elektorów. Wzrastał zakres demokracji. Stopniowo cała szlachta uzyskała prawo wyborcze. Zaraz jednak pojawiły się ograniczenia, bo nadmiar wyborców stwarzał różne trudności. Ustalona została zasada głosowania osobistego, *viritim*, trzeba było pojawić się na polu elekcyjnym. Z drugiej strony pojawiły się mechanizmy rozszerzające zakres demokracji, sejmiki lokalne i przywożenie na elekcję pakietu głosów ze swego powiatu, a więc wybory pośrednie.

Równocześnie w miastach rosła zasada rządów przedstawicielskich. Wybierano rajców i to oni, z woli mieszczan, zarządzili miastem. Dzięki temu niektóre miasta (np. Gdańsk) stawały się odrębnymi potęgami, z którymi królowie musieli się liczyć.

Po wymarciu Jagiellonów każda elekcja króla w Polsce stała się wydarzeniem zauważanym także za granicą i różne ośrodki zagraniczne zaczęły się w nią angażować, a to dlatego, że trwała zasada wybierania kogoś z rodu królewskiego. Na elekcję przyjeżdżali przedstawiciele obcych dworów i tworzyli koterie popleczników dla swego kandydata. Szczególnie po abdykacji Jana Kazimierza, gdy nie było królewicza z polskiej linii Wazów, obce dwory mocno zaangażowały się w promocję

swoich przedstawicieli do polskiego tronu. Widząc to niekorzystne zjawisko, podkanclerzy bp Andrzej Olszowski rzucił hasło: „Niech każdy złoży przysięgę, że nie będzie głosował na tego, od kogo brał pieniądze!”. Zebrana szlachta na Woli błyskawicznie podjęła to hasło, żądając od wszystkich przysięgi. Tym jednym posunięciem zostali wyeliminowani wszyscy obcy kandydaci. Padło następne hasło: „Chcemy króla Piasta!” Wnet wybrany został Michał Korybut Wiśniowiecki, syn Jaremy, słynnego obrońcy kresowych stanic. W tym samym duchu odbyła się następna elekcja, kiedy to królem został Sobieski. Polska znalazła sposób na zgubną ewolucję demokracji w kierunku uzależnienia od obcych.

Niestety, nie na długo. Obieranie przedstawicieli obcych rodów królewskich powróciło - przyszła epoka Sasów. Ale elekcje Leszczyńskiego i Poniatowskiego świadczą, że myśl o wybieraniu rodzimego króla była wciąż żywa. Jednakże miały też miejsce obce ingerencje w nasze elekcje. Znalazło to wyraz w zapisie Konstytucji 3 Maja, domagającym się, by władza królewska była dziedziczną w celu „zamknięcia na zawsze drogi wpływom mocarstw zagranicznych” w czasie bezkrólewia. Również Amerykanie, naśladujący naszą demokrację, zapisali w swojej konstytucji, że prezydent ma być urodzony w USA. Do dziś uniemożliwia to kandydowanie na prezydenta takim ludziom, jak Kissinger, Brzeziński czy Schwarzenegger.

Konstytucja 3 Maja przyniosła jeszcze inny element. Rozszerzyła prawa obywatelskie. Nie tylko potwierdziła i umocniła prawa mieszczan, ale i zauważyła chłopów i włościan, przejmując ich pod opiekę prawa państwowego i uznając ich wolność osobistą. W USA konstytucja dała prawo głosu wszystkim, ale nie zniosła niewolnictwa. U nas nie było go nigdy. Nasze prawa obywatelskie uznane zostały za zagrożenie dla sąsiednich monarchii absolutnych, wskutek czego dostaliśmy się pod ich panowanie. Ale już pod koniec XIX w. i tam pojawiły się organy przedstawicielskie powoływane drogą wyborów. Ordynacje były różne. Nie wszyscy mieli prawo głosu (kobiety, koczownicy) lub głosy nie miały równej wagi (głosy ziemian i arystokracji liczyły się bardziej). Zakres demokracji ciągle się jednak poszerzał. W chwili wybuchu I wojny światowej mieliśmy polskie przedstawicielstwa w parlamentach wszystkich trzech państw zaborczych. (Koła polskie zdominowane były przez przedstawicieli narodowej demokracji - to oni stanowili fundament odrodzonego Sejmu po odzyskaniu niepodległości).

Doszliśmy do obecnego stanu, ale ewolucja demokracji trwa. Modna dziś propaganda równości mężczyzn i kobiet zmierza do zapewnienia odpowiedniej obecności kobiet w organach przedstawicielskich (*numerus clausus*). Tu i ówdzie obcokrajowców zrównuje się w prawach wyborczych z ludnością rodzimą. Umożliwia się głosowanie mieszkającym za granicą, w konsulatach. Rozważa się umożliwienie głosowania telefonicznego lub przez internet.

A jaka będzie dalsza ewolucja demokracji? Wielu się nad tym zastanawia.

### *Defekty demokracji*

To, że demokracja ma wady, widzi każdy. Podstawową jej wadą jest fakt, że o ważnych sprawach decydują ludzie, którzy nie mają pojęcia, o co chodzi. Rozszerzanie uprawnień wyborczych oddaje zasadnicze decyzje w ręce najmniej kompetentnych. Dziś wyborcy to nie panowie małopolscy. Konsekwencją tego jest



coraz niższy poziom kampanii wyborczych, które nie są adresowane do tych, którzy mają określone poglądy polityczne, ale do tych, którzy wiedzą najmniej. Polityków i ich partie sprzedaje się jak każdy inny towar konsumpcyjny przy pomocy adresowanych do podświadomości reklam. Mamy więc nic nie mówiące hasła w rodzaju: „pogoda dobrych ludzi” czy „wybierz przyszłość”, lub obietnice bez pokrycia (np. mieszkanie dla każdego). W rezultacie o wyniku wyborów decyduje ilość pieniędzy wydanych na billboardy i reklamy w telewizji, względnie dostępność polityczna do telewizji publicznej.

Niska świadomość polityczna wyborców przekłada się często na bardzo niski poziom świadomości politycznej wybranych. Do samorządów i parlamentów dostają się ludzie popularni, sportowcy, gwiazdy telewizyjne, ludzie o atrakcyjnej aparycji, względnie lokalni krzykacze, faworyci czy klienci różnych bogaczy lub po prostu ludzie przypadkowi. Tzw. listy krajowe nie cieszą się popularnością i zostały usunięte z naszej ordynacji wyborczej, a to one gwarantowały, by najważniejsi dla danej partii ludzie, potrzebni przy sprawowaniu władzy bądź prowadzeniu skutecznej opozycji, dostali się do Sejmu. Potem Sejm czy poszczególni posłowie są krytykowani za brak kompetencji, a tymczasem przyczyna leży w niesprawności systemu wyborczego.

Obecnie demokracja zaczęła obejmować sprawy, które nigdy pod osąd ludzki, pod głosowania, nie powinny być poddawane. Przecież nad Dekalogiem się nie głosuje! Tymczasem większością głosów różnych parlamentów wprowadza się prawo do zabijania (aborcja, eutanazja, eksperymenty na ludzkich embrionach), legalizuje cudzołóstwo i zbrocenia, dopuszcza lichwę uprawianą przez banki itd. Jan Paweł II nauczał, że demokracja bez wartości zamienia się w totalitaryzm.

Innym defektem demokracji jest mała sprawność w rządzeniu. Na pewno łatwiej jest rządzić, mając uprawnienia dyktatorskie, gdy żadna opozycja nie przeszkadza. Warto przy okazji dodać, że na ogół szary obywatel lubi rządy twardej ręki i o takich marzy.

To nieprawda, że w procesie demokratycznym uczestniczyć chce każdy. Frekwencja wyborcza bywa bardzo niska, jak mieliśmy okazję zobaczyć przy wyborach do Parlamentu Europejskiego. Wielu zdaje sobie sprawę, że do podejmowania decyzji się nie nadaje, ale jednak chce, żeby ktoś rządził. Dotyczy to w szczególności ludzi wychowanych w cywilizacji turańskiej. Rządy Łukaszenki na Białorusi nic wspólnego z demokracją nie mają, co wcale nie oznacza, że nie ma on jakiegось poparcia społecznego. Podobnie odbierany jest Putin przez Rosjan, Aliyev przez Azerów, czy swego czasu Piłsudski u nas.

Wreszcie demokracja ma tę wadę, że często degeneruje się w system dwupartyjny, gdzie partie praktycznie się nie różnią, a wyborcy mają tylko złudzenie, że coś zmieniają, wpuszczając inny zestaw twarzy do funkcji rządowych. Tymczasem faktyczna władza jest za kulisami, w biznesie, w bankach, w służbach specjalnych, w lożach - ale większość wyborców nie ma o tym pojęcia. Ludzie ambitni, którzy o tym wiedzą, często świadomie dążą do odgrywania roli zakulisowej i nie angażują się do pracy w organach przedstawicielskich – czyli programowo odrzucają demokrację jako drogę do władzy. Taki George Soros, Henry Kissinger czy Józef Retinger nigdy nie startowali w żadnych wyborach, a przecież nie sposób nie uważać ich za bardzo wpływowych działaczy na światowej arenie politycznej.

### ***Pozory demokracji***

Rezultatem tych defektów demokracji jest to, że staje się ona pozorna. W PRL niby można było wybrać 8 z 10 kandydatów, ale wszystkich wystawiała rządząca partia oraz zalecano nikogo nie skreślać, czyli oddawać głos na pierwszych 8 kandydatów. Ludzie bali się, że będą odnotowani jako uchylający się od głosowania lub że poszli za kotarkę skreślać. W rezultacie cała ta „demokracja” była farsą i wszyscy o tym wiedzieli.

O wiele częściej wybory się po prostu kupuje. Można to zrobić w sposób nielegalny – czyli fałszując wyniki, albo legalny – kupując kampanię wyborczą. Fałszowanie wyborów jest w stanie zorganizować jedynie dotychczasowa władza, bo to ona organizuje wybory. Sprawa jest jednak ryzykowna, bo jeżeli zostanie zdemaskowana, to o zmianach politycznych zadecyduje ulica, która dotychczasową władzę usuwa metodą rewolucyjną (np. Gruzja). Można również fałszować sondaże lub nagłaśniać tylko te, które uważa się za korzystne dla siebie. Sondaże mają ogromny wpływ na wyborców, bo ludzie z reguły wolą być wśród tych którzy się liczą, a partii skazanych na przegraną popierać nie będą. Tutaj trudniej udowodnić fałszerstwo, więc z tą metodą kupowania wyborów spotykamy się częściej. Najczęściej jednak mamy do czynienia z zupełnie legalnym kupowaniem kampanii wyborczej. Polega ono na monopolizacji środków przekazu. Dzisiaj wybory wygrywa decydujący o tym, co się ukaże w telewizji. Gdy oglądalność koncentruje się na telewizji publicznej, poprzez ograniczanie opozycji dostępu do niej sprawujący władzę przedłużają ją sobie. Gdy telewizja prywatna jest bardziej oglądana, jej właściciel może zostać premierem (np. Berlusconi we Włoszech). Oczywiście wybory kosztują. Trzeba mieć środki na reklamy w telewizji, radiu, na billboardach, na plakatach itd. Kto ma więcej pieniędzy, temu łatwiej wynik wyborów kupić. Niestety w wyborach wielokrotnie odgrywają też rolę pieniądze pochodzące z zagranicy. Przydałby się dziś ktoś taki, jak bp Olszowski, kto by znalazł sposób na wyeliminowanie obcych wpływów.

Pozory demokracji widać też przy różnych wyborach wewnątrz organizacji. Dziś już nic nie zostawia się na żywioł. Wybory przygotowuje się w wąskim gronie decydentów danej organizacji, a potem na zebraniu wyborczym dostarcza się zaufanym członkom sugestie, jak głosować, oraz uprawia się indywidualny lobbing pod owe ustalenia. Przygotowanie wyborów stało się normą. Rzeczywiste decyzje wyprzedzają same wybory.

W pewnym zakresie ma to również miejsce w wyborach powszechnych. Niska świadomość polityczna wyborców powoduje, że z reguły głosują oni na pierwsze nazwisko na liście. Ustalenia wewnątrzpartyjne, dokonane na długo przed wyborami, dotyczące tego, kto znajdzie się na pierwszym miejscu na liście, w dużym stopniu determinują wygraną danej osoby w wyborach.

Tak więc w rzeczywistości wyborcom tylko wmawia się, że to oni decydują.

*Pomysły rozszerzające demokrację*

Widząc te wszystkie niedomagania demokracji, poszukuje się usprawnień w jej funkcjonowaniu. Jedni uważają, że demokracji jest za mało, i proponują ją poszerzyć. Tu i ówdzie (np. w Belgii) wprowadza się przymus głosowania – żeby rzeczywiście wszyscy ponosili odpowiedzialność za wynik wyborów. (W PRL wymuszano udział w wyborach strachem). Coraz to bardziej obniża się wiek uprawniający do czynnego i biernego udziału w wyborach, gdyż uważa się, że młodzi wcześniej dojrzewają i winni mieć prawo do głosu w sprawach ich dotyczących.

Widziałbym uzasadnienie dla jeszcze dalej idącego rozszerzenia liczby uprawnionych. Można by uprawnić dzieci do udziału w głosowaniach, tyle tylko, że – póki są nieletnie – głosowałiby za nich rodzice: – matki za córki i ojcowie za synów. Dałoby to większy wpływ na sprawy państwowe tym, którzy ponoszą trud wychowywania następnego pokolenia. 22 stycznia 2004 r. nowo mianowany 80-letni kardynał Gustaaf Joos z Belgii powiedział w radiu RTBF, że uważa za rzecz nienormalną, iż głos ojca 7 dzieci liczy się tak samo, jak głos 18-letniego wyrostka, który ledwo potrafi pisać (*Agencja RU 07/2004*).

#### *Pomysły zawężające demokrację*

Pojawiają się też pomysły na zawężenie liczby osób uprawnionych do głosowania.

Jednym ze sposobów są wybory pośrednie. W wyborach powszechnych wybiera się elektorów, a ci z kolei wybierają posłów, senatorów czy prezydenta. W taki sposób wybiera się prezydenta w Niemczech. Taki system formalnie obowiązuje też w USA – prezydenta wybierają elektorzy. System ten jednak zdegenerował się, gdyż w pierwszym głosowaniu elektorzy są zobowiązani głosować według większości uzyskanej w danym stanie, czyli decyduje nie ich własna mądrość, ale wynik w wyborach powszechnych. W efekcie na ogół już w dzień po wyborach wiadomo, kto wygrał. Gdyby jednak na elekcję jechali wybrani do tego np. przez samorządy, byłoby to ograniczenie liczby wyborców do ludzi już w polityce czynnych, a więc trudniej by było wpłynąć na nich tanią propagandą.

Sposób ważenia głosów np. cenzusem wykształcenia lub posiadaniem nieruchomości był już próbowany (w Rosji na początku XX wieku), ale został uznany za niedemokratyczny i świat od tej metody odszedł. Prosty, niewykształcony człowiek może posiadać życiową mądrość i nie wolno go ograniczać w prawach wyborczych. Zasada równości praw wyborczych wszystkich obywateli nie może być naruszana. Trzeba więc szukać innych rozwiązań.

Można by uznać, że prawo wyborcze to przywilej, który ma coś kosztować. Trudno wyobrazić sobie pobieranie odpłatności za głos, bo byłoby to uznane za niesprawiedliwe dla ubogich. Ubogi też może mieć dobrze poukładane w głowie i mieć rację. Kompetencja i zamożność nie idą w parze. Ale można by np. podwoić wysokość kar w kodeksie karnym dla obywateli głosujących. Wtedy przywilej głosowania połączony byłby z perspektywą, że każdy mandat będzie kosztował dwukrotnie więcej, każda odsiadka będzie dwukrotnie dłuższa. Oczywiście rejestrowanie się jako obywatel głosujący musiałoby nastąpić na okres nie krótszy niż jedna kadencja organów przedstawicielskich.

Już samo rejestrowanie się jako wyborcy mogłoby stanowić ogranicznik liczby głosujących. Dziś teoretycznie każdy może sprawdzić, czy jest na liście wyborców, ale w

praktyce mało kto to robi. Gdyby był obowiązek zarejestrowania się na kilka tygodni przed wyborami, to głosowałoby dużo mniej ludzi i przy okazji można by dostarczać tylko taką liczbę kart do głosowania, jaka odpowiada liczbie zarejestrowanych wyborców w danym obwodzie. Dałoby to oszczędności i ograniczyło liczbę wyborców tylko do osób zainteresowanych udziałem w wyborach. Niczyje prawa nie byłyby naruszane, a poziom kampanii wyborczej podniósłby się. Ograniczyłoby to też możliwość fałszowania poprzez uzupełnianie urny niewydanymi, a odpowiednio oznakowanymi kartami.

### ***Demokracja w UE***

Niby to w imię demokracji w Unii Europejskiej proponuje się zastąpić w Radzie Ministrów (zgromadzeniu przedstawicieli narodów) równe prawa krajów członkowskich już nie kompromisem nicejskim, ale podwójną większością (określona większość krajów i to reprezentujących określone minimum ludności). Chodzi oczywiście o likwidację ostatniego elementu suwerenności krajów członkowskich.

Tymczasem proponowana Konstytucja Europejska zawiera element likwidujący faktyczną demokrację. Niby jest Parlament Europejski, ale mimo tego, że jego decyzje są nadrzędne wobec parlamentów narodowych, posiada o wiele mniejsze kompetencje niż one. Przede wszystkim nie ma prawa inicjatywy ustawodawczej (zgłaszania projektów ustaw). Pojawia się tu deficyt demokracji – to, co odbiera się parlamentom krajowym, nie trafia do europejskiego. Co się zatem z tym dzieje?

Prawo inicjatywy ustawodawczej ma mieć tylko Komisja Europejska. Zarówno Parlament, jak i Rada Ministrów mogą tylko apelować o nowe prawo, ale zgłaszać projektów nie mogą. Parlament może zawetować pomysł Komisji ustawową liczbą głosów (więcej niż połowa ogólnej liczby posłów) i musi on posiadać poparcie Rady (jego podwójnej większości). Parlament może też ustawową liczbą głosów wprowadzić poprawki do propozycji Komisji, a Rada tylko jednogłośnie. W sumie więc Komisja praktycznie decyduje o wszystkim.

A jak ona powstaje? Wyborcy wybierają bezpośrednio posłów do parlamentów swoich i Europejskiego, a więc mają też pośredni wpływ na powoływanie swoich premierów, czyli skład Rady, ale nie na skład Komisji, na jej przewodniczącego, ministra spraw zagranicznych, ministra finansów, ministra sprawiedliwości i pozostałych komisarzy. Tych najważniejszych wyborów ma po wyborach parlamentarnych dokonać Rada podwójną większością głosów, spośród kandydatów na komisarzy zgłoszonych przez kraje członkowskie. Parlament zatwierdzi przewodniczącego i cały skład Komisji zwykłą większością, ale nie może zgłaszać własnych propozycji. Odwołać całą Komisję może większością 2/3 głosów lub ustawową, ale poszczególnych komisarzy nie.

W taką to demokrację teraz weszliśmy! Na razie projekt Konstytucji Europejskiej jeszcze nie został przyjęty i nie obowiązuje. Wymaga ratyfikacji – miejmy nadzieję, że w referendum ten projekt odrzucimy, zarówno Polska, jak i inne kraje.

Niewątpliwie trzeba szukać nowych rozwiązań, bo demokracja dewaluuje się, ale propozycje Unii Europejskiej to zakamuflowana próba usankcjonowania rządów zakulisowych. Parlamenti zarówno krajowe, jak i europejski, mają odgrywać rolę parawanów dla tych rządów. Czy kraje europejskie, a wśród nich my, wyrażą na to zgodę?

Mam nadzieję, że nie.

## Polska w Unii

Wejście Polski do Unii Europejskiej stało się faktem niechcianym przez nas, szkodliwym dla Polski, uciążliwym, niemniej jednak faktem. Póki to było możliwe, staraliśmy się przeciwdziałać akcesji. Mieliśmy nadzieję, że Polacy w referendum pomysł wejścia do Unii odrzucą. Stało się inaczej. Dzisiaj musimy się zastanowić, co teraz w Unii będziemy robić, co zrobić możemy i co dobrze by było, żebyśmy zrobili.

### ***Odrzucenie Konstytucji***

Pierwszy etap mamy za sobą. Przymierzaliśmy się do ostrej walki o odrzucenie projektu Konstytucji UE. Zbieraliśmy podpisy wzywające do poddania tego projektu pod ogólnokrajowe referendum. Nie chcieliśmy, by o przyjęciu lub odrzuceniu unijnej Konstytucji decydowała ratyfikacja dokonana przez Sejm, szczególnie obecny Sejm, zdominowany przez prounijną większość. Dzięki Polsce proces ustanawiania Konstytucji został na parę miesięcy przesunięty w czasie. Została ona zablokowana przez twarde stanowisko Polski na konferencji międzyrządowej w Brukseli w dniu 13 grudnia 2003 r. Polska udowodniła wtedy, że pomiatać sobą nie pozwoli. Jest to niewątpliwy sukces premiera Millera, ale też i prawie całej polskiej sceny politycznej, gdyż premier działał pod silną presją wielu środowisk. Mało osób wie, jak wielką rolę w tym wszystkim odegrała Liga Polskich Rodzin. Prezydent bardzo chciał zastąpić premiera, ale ten zastąpić się nie dał, choć mocno był poturbowany po wypadku helikoptera, którym wracał z uroczystości barbórkowych. Premier miał prawo obawiać się większej uległości prezydenta wobec unijnych propagatorów projektu Konstytucji Europejskiej. Pojechał w gorsecie usztywniającym nadwątlony kręgosłup. Jednym z najważniejszych elementów tego gorsetu była uchwała Sejmu<sup>1</sup> z 11 grudnia 2003 r., za którą głosowała prawie cała izba.

Uchwała była pomysłem Ligi Polskich Rodzin. To nasi przedstawiciele (głównie Roman Giertych) prowadzili rozmowy z klubami poselskimi, by uzyskać ich akceptację. Na Konwencji Seniorów w godzinach popołudniowych 11 grudnia udało się ustalić tekst prawie konsensualny (przeciw były tylko koła RKN Antoniego Macierewicza i PP Jana Łopuszańskiego). Jego istotą było zobligowanie premiera, by nie ustępował w sprawie niekorzystnego dla Polski zapisu sposobu głosowań w Radzie Ministrów i nie pozwolił, by Rzeczpospolita Polska utraciła prawo weta przy jakichkolwiek zmianach traktatowych w przyszłości. Kompromis, za którym opowiadał się Prezydent, miał polegać na tym, że temat głosowań w Radzie Ministrów

---

<sup>1</sup> Ponieważ prasa wielkonakładowa nie opublikowała treści tej uchwały, zamieszczam ją tutaj:

#### **Uchwała Sejmu RP w sprawie traktatu ustanawiającego Konstytucję dla Europy.**

W obliczu rozpoczynającego się w Brukseli posiedzenia Konferencji Międzyrządowej Unii Europejskiej w sprawie przyjęcia traktatu konstytucyjnego, Sejm RP potwierdza ważność i moc obowiązującą swego stanowiska, określonego w Uchwale Sejmu z dnia 2.X.2003r.

Sejm RP w szczególności potwierdza, że system głosów ważonych w Radzie Unii Europejskiej, uchwalony Traktatem Nicejskim z dnia 11.XII.2000r., pozostaje najlepszą gwarancją realizacji zasady solidarności wewnątrz Unii Europejskiej. Sejm RP wzywa Radę Ministrów do skutecznej obrony tego systemu.

Sejm podkreśla także, że przyjęcie przez Polskę zarówno traktatu konstytucyjnego, jak i wszelkich zmian proponowanych do niego w przyszłości wymagać będzie zgody Rzeczypospolitej Polskiej, wyrażonej przez przedstawiciela Rady Ministrów w odpowiednich instytucjach europejskich, oraz przewidzianej prawem następczej procedury ratyfikacyjnej.

miał być odłożony na czas, gdy już nie będzie obowiązywało prawo weta krajów członkowskich. Premier okazał się uchwale wierny, a potem przy różnych okazjach deklarował, że była mu ona pomocną w utrzymaniu twardego stanowiska.

Sejm podjął uchwałę wieczorem 11 grudnia 2003r. Tylko kilku posłów było przeciw. Chcieli zmian w uchwale, proponowanych przez Antoniego Macierewicza i Jana Łopuszańskiego. Domagali się normalnego procesu dyskusowania nad jej tekstem, a więc odroczenia uchwały na inny termin, czyli już po konferencji w Brukseli. Dla tych zmian i tak zgody większości sejmowej by nie było. Kto nie umie zauważyć historycznego momentu i obstaje przy nieosiągalnym, sam się ośmiesza. Przeciwnicy uchwały stanęli w jednym szeregu ze zwolennikami Konstytucji Europejskiej, takimi jak Prezydent Kwaśniewski i Andrzej Olechowski.

Ale dalszy ciąg walki z Konstytucją Europejską miał już zupełnie inny przebieg. Zwolennicy konstytucji, tacy jak prezydent Kwaśniewski i minister Cimoszewicz, znaleźli sposób, by ją w imieniu Polski zaakceptować. Najpierw doprowadzono do rezygnacji premiera Millera. Potem przyszła nominacja na premiera człowieka, o którym wiadomo było, że należy do kręgów internacjonalistycznych. Marek Belka to członek globalistycznej Komisji Trójstronnej (Trilateral Commission), ekspert banków międzynarodowych, zaufany Ameryki - skoro został zatrudniony przez nich w Iraku, no i w sposób oczywisty zaufany Prezydenta Kwaśniewskiego. Dostał on zadanie doprowadzenia do rezygnacji z twardego dotychczas stanowiska Polski wobec budzących nasze zastrzeżenia zapisów projektu Konstytucji - z poparciem Sejmu lub bez. Wykonał je bez poparcia Sejmu. Zaraz po fiasku z 13 grudnia 2003 r. przystąpiono do prac nad poszukiwaniem kompromisu umożliwiającego uchwalenie tej Konstytucji. Niepokojąca była już zapowiedź premiera Millera, że w sprawach innych niż nicejski sposób liczenia głosów w Radzie Unii jego rząd gotów jest ustąpić. Belka ustąpił we wszystkich, ignorując nadal obowiązującą uchwałę Sejmu, fakt braku wotum zaufania od Sejmu oraz najnowsze głosowanie Sejmu odrzucające informację rządu w sprawie stanowiska na Konferencję Międzyrządową. Rząd zapowiadał, że będzie bronił nicejskich ustaleń co do siły Polski w głosowaniach, odniesienia do chrześcijaństwa w preambule i takich samych ułatwień dla krajów postsowiecki, jakie Niemcy zapewnili swoim wschodnim landom (dawnemu NRD). Nie obronił niczego, a podpisany 18 czerwca 2004 r. kompromis ogłosił jako zwycięstwo. Co premier Belka oddał obronił „polski hydraulik”, o czym za chwilę.

Dla nas nie tylko bardzo wiele zapisów tego projektu Konstytucji jest nie do przyjęcia, ale nie odpowiada nam w ogóle sam pomysł wspólnej Konstytucji dla Unii. Wspólna Konstytucja oznacza wspólne państwo, czyli powstanie Stanów Zjednoczonych Europy, względnie Związku Socjalistycznych Republik Europejskich, a najprawdopodobniej Republiki Federalnej Europy. Taką ewolucję będziemy zwalczać ze wszystkich sił. Najprostszym sposobem była walka z samą ideą wspólnej Konstytucji, tym bardziej, że ma ona przeciwników w prawie wszystkich krajach Unii i tylko trzeba ich zmobilizować do wspólnego działania. Już wydarzenia z 13 grudnia 2003r. bardzo wzmocniły tę część politycznego spektrum Europy. Znalazło to wyraz w wyborach do Parlamentu Europejskiego z 13 czerwca 2004r., kiedy to eurosceptycy znacząco zwiększyli swój stan posiadania. W delegacji polskiej do Parlamentu Europejskiego Liga Polskich Rodzin okazała się drugą siłą po Platformie

Obywatelskiej, otrzymując 10 mandatów (PO dostała 16). Przeciwnicy integracji w Europie liczyli na dalsze twarde stanowisko Polski prowadzące do totalnej blokady idei wspólnej Konstytucji. Przeliczyli się niestety, gdyż nie znają naszej lewicy, jej braku konsekwencji, przewrotności w działaniu i umiejętności nazwania ustępstwa kompromisem, a klęski – zwycięstwem. Kapitulacja Polski nastąpiła w dniu 18 czerwca 2004 r. poprzez złożenie podpisu „premiera” Belki, premiera bez mandatu. Niestety Belka mandat ten w parę dni później uzyskał, nie z wdzięczności za swą postawę w Brukseli, ale dla podtrzymania przy życiu (czytaj: przy dietach) przez nikogo już niechcianego składu Sejmu.

Liga Polskich Rodzin w miarę swoich sił podjęła współpracę z nurtem antykonstytucyjnym w polityce europejskiej. Ludzie ci określają siebie jako antyfederaliści. My też jesteśmy antyfederalistami. Najsilniejsze wpływy tego nurtu są w Wielkiej Brytanii. W zasadzie reprezentują go angielscy konserwatyści, ale skoro okazali się za mało zdecydowani, to opinia publiczna, a w każdym razie elektorat prawego, thacherystowskiego skrzydła konserwatystów, udzielił poparcia w wyborach do Parlamentu Europejskiego mało dotąd znanej Partii Niepodległości. Głównie z nimi przyszło nam więc współpracować na terenie Parlamentu Europejskiego w sprawie przyszłości Unii Europejskiej. Z nimi i z mniejszymi reprezentacjami eurosceptyków z różnych krajów (Francji, Holandii, Szwecji, Danii, Włoch, Czech, Grecji, Irlandii) wspólnie utworzyliśmy grupę pod nazwą „Niepodległość i demokracja” (ND).

Nasi francuscy i holenderscy koledzy z grupy ND bardzo intensywnie i skutecznie zaangażowali się w walkę o odrzucenie projektu konstytucji europejskiej w swych krajach. Pomagaliśmy im nie tylko personalnie, uczestnicząc w prowadzonych przez nich kampaniach, ale i materialnie wspierając ich kampanie ze środków finansowych jakimi grupa dysponuje. To nasz klubowy kolega, Philippe de Villiers, był autorem słynnego hasła o zagrożeniu ze strony „polskiego hydraulika”. De Villiers pochodzi z Wandei, najbardziej tradycyjnie katolickiej części Francji i jest przywódcą francuskich suwerenistów (Mouvement pour la France). Oczywiście to nie tylko nasze działania spowodowały, że we Francji i w Holandii projekt konstytucji dla Europy został odrzucony. Ale jakiś tam wkład był. W sumie okazało się, że znalazła się większość rozumiejąca, że konstytucja europejska oznacza oddanie suwerenności na rzecz biurokratów z Brukseli. Okazało się, że mamy więcej sojuszników niż pierwotnie przypuszczaliśmy. Patrzymy w przyszłość z nadzieją.

## Europa narodów

Z tematem Konstytucji wiąże się konieczność podjęcia walki o utrzymanie w Europie zasady, zgodnie z którą państwa są własnością swoich Narodów. Europa to kontynent państw narodowych i takim powinien pozostać. Wszelkie próby tworzenia tygla, na wzór amerykański, nie zdadzą w Europie egzaminu przede wszystkim z przydatności. Nie da się wszystkich wymieszać i sprowadzić do wspólnego mianownika. To są marzenia ludzi bez korzeni, internacjonalistów, tych, dla których Ojczyzna jest tam, gdzie dobrze. Dumne narody europejskie na to nie pozwolą. Do najbardziej dumnych, najbardziej świadomych swego miejsca na ziemi należy Naród polski. Dotyczy to nie tylko ludzi mieszkających w kraju, ale i tych rozproszonych po świecie. Na słowo „Ojczyzna” Polak reaguje uczuciem, miłością, nostalgią i prędzej czy później ofiarnością, czyli gotowością poświęcenia czegoś własnego dla dobra

Polski, nawet życia. To uczucie podziela wielu ludzi różnych narodowości w całej Europie. Trzeba im tylko o tym przypomnieć. Przypomnieć, że warto troszczyć się o własną niezależność. Prędzej czy później dojdzie do rozpadu Unii, bo poszczególne państwa nie wytrzymają internacjonalistycznej centralizacji. Pytanie jest tylko, czy nastąpi to metodą jugosłowiańską czy czechosłowacką. W dużym stopniu zależy to od nas, jak pokierujemy przyszłością nastrojów narodowych w Europie.

### Europa niemiecka?

Cały pomysł na Unię Europejską ma korzenie niemieckie. Bismarck zjednoczył państewka niemieckie unią celną w 1871 r. pod przywództwem Prus, dla Polaków mając program wykorzenia (ausrotten), a już w 43 lata potem Niemcy jako zjednoczone państwo sięgnęły po panowanie nad większością Europy. Warto przytoczyć cele wojenne, które sformułował kanclerz pruski Theobald Bethmann Hollweg 9 września 1914 r., a więc w trakcie bitwy nad Marną, gdy Niemcom wydawało się, że już wkraczają do Paryża i będą dyktować warunki pokoju. Píše on: „Zabezpieczenie Rzeszy Niemieckiej od zachodu i od wschodu na tak długo, jak tylko da się pomyśleć. W tym celu Francja musi zostać tak osłabiona, by już nie mogła się na nowo podźwignąć jako wielkie mocarstwo, Rosja musi być – o ile możliwości – odepchnięta od niemieckich granic i jej panowanie nad nierosyjskimi ludami wasalnymi musi zostać złamane. [...] Należy osiągnąć ustanowienie środkowoeuropejskiego związku gospodarczego drogą wspólnych układów celnych, obejmujących Francję, Belgię, Holandię, Danię, Austro-Węgry, Polskę oraz ewentualnie także Włochy, Szwecję i Norwegię. Związek ten, wprawdzie bez wspólnej konstytucyjnej nadbudowy i przy zachowaniu zewnętrznej równości swoich członków, ale faktycznie pod niemieckim kierownictwem, będzie musiał utrwalić panowanie gospodarcze (wirtschaftliche Vorherrschaft) Niemiec nad środkową Europą”<sup>2</sup>.

Rok później, w 1915 r., wyszła w Berlinie książka Friedricha Naumanna pt. „Mitteleuropa”, która jest szczegółowym rozpisaniem planu Bethmann Hollwega. Jest tam mowa o „środkowoeuropejskim bloku gospodarczym pod duchowym kierunkiem Niemiec”. Obszar ten miał być zorganizowany przy współpracy Niemiec i Austro-Węgier. Naumann ocenia, że w ten sposób tworzące blok narody wejdą w „drugi okres kapitalistyczny”, „od kapitalizmu prywatnego do socjalizmu jako systemu zwiększającego wspólny dorobek wszystkich dla wszystkich”. Innymi słowy Mitteleuropa miała przynieść korzyści materialne za cenę niemieckiego panowania, za cenę poddania się niemieckiej organizacji. Przecież jest to program realizowany dziś przez UE. Brak w nim tylko Anglii i Hiszpanii, które w owym czasie były poza zasięgiem możliwości opanowania ich przez Niemcy. Naumann traktuje Bismarcka, który zjednoczył państewka niemieckie w 1871 roku pod przywództwem Prus, jako inicjatora idei jednoczenia Europy pod przywództwem Niemiec. Cały ten obszar Hitler zjednoczył w roku 1941 pod szyldem narodowego socjalizmu i bez granic (keine Grenze). Naumann jako chadek proponował jednak nie pruską, ale habsburską metodę panowania nad mniejszymi narodami, w tym nad Polską, natomiast organizację

---

<sup>2</sup> (Fritz Fischer 1959, "Deutsche Kriegesziele, Revolutionierung und Separatfrieden im Osten 1914-1918", *Historische Zeitschrift*, Monachium, 188; 249-310).



zjednoczonej Mitteleuropie chciał nadać pruską, jako w jego mniemaniu najsprawniejszą.

Czy obecne kierunki ewolucji Unii Europejskiej nie są realizowaniem tego właśnie planu? Chodzi o w miarę mało widoczną dominację niemiecką, niemiecką organizację, ale bez pruskiej buty wobec mniejszych narodów. Zapewne teraz, po przeniesieniu stolicy do Berlina, ta pruska buta i tak będzie się ujawniać, a naszym polskim zadaniem będzie wszelkie jej przejawy nagłaśniać i uzmysławiać innym narodom europejskim. Już teraz musimy ukazywać niemiecki rodowód Unii Europejskiej. Temat ten znajduje posłuch u naszych rozmówców wśród polityków zachodniej Europy. Na pewno my, Polacy, jesteśmy najbardziej wyczuleni na zagrożenie niemieckie i stąd pierwsi zauważać będziemy przejawy niemieckiej dominacji, która nie może się podobać nie tylko mniejszym narodom, ale i konkurującym do nadawania tonu w Europie Francuzom czy Anglikom. Musimy to nasze wyczulenie dobrze wykorzystać do rozgrywek politycznych wewnątrz Unii.

### Europa chrześcijańska

Inny temat, który w sposób naturalny mieści się w ramach naszych obowiązków, to obrona wartości chrześcijańskich w Europie. Ojciec Święty Jan Paweł II namawiał nas do wejścia do Unii, ale nie twierdził, że będzie nam tam lepiej. Mówił, że będziemy mieli tam zadanie do spełnienia. Jest nim rechrystianizacja Europy i to zadanie musimy podjąć. Walczyć będziemy o przywrócenie znaczenia etyce katolickiej w kształtowaniu oblicza Europy. Oznacza to, że nie tylko będziemy zwalczać wszelkie próby narzucania Europie tolerancji wobec zła (aborcji, eutanazji, przedmiotowego traktowania embrionów, ich kloningu, zbrodni seksualnych, pornografii, profanacji), ale będziemy dążyć do przywrócenia obowiązującego prawa naturalnego i opartej na nim etyki. Czyli nie tylko będziemy się starać zatrzymać proces psucia prawa, ale i rozpoczniemy proces jego naprawiania.

Polska jest do tego szczególnie predestynowana, bo jesteśmy Narodem świadomym swego katolicyzmu, Narodem, który dał Kościołowi wielu misjonarzy, również do reewangelizowania Europy zachodniej. Polacy Kościoła bronić potrafią – nawet ci, którzy we własnym życiu daleko od niego odeszli. Klasyczne słowa Mickiewicza w „Dziadach”: *vivat Polonus unus defensor Mariae* (niech żyje Polak, jedyny obrońca Maryi) nie wzięły się z niczego. Dotyczą wiarusa napoleońskiego, który, choć daleki od codziennej pobożności, nie pozwolił, by przy nim drwiono z Matki Bożej. Aż dziw bierze, że postkomunistyczne władze obecnej Polski, programowo ateistyczne, dopominały się o odniesienie do wartości chrześcijańskich w preambule planowanej Konstytucji Europejskiej. Że było to tylko na pokaz, pod polską publikę i dla uzyskania aprobaty Watykanu, zobaczyliśmy naocznie w momencie, gdy premier Belka z tego postulatu ustąpił – ustąpił, bo po to przecież Prezydent Kwaśniewski mianował go premierem. We wszystkich konstytucjach Europy, z wyjątkiem francuskiej, jest wzmianka o Bogu, ale wszyscy ustąpili Francji - ciekawe dlaczego?<sup>3</sup> W Zachodniej Europie szanuje się muzułmanów i żydów, którzy

---

<sup>3</sup> W roku 1728 francuscy masoni wybrali na swego wielkiego mistrza Filipa księcia Wharton, tym samym zrywając swą zależność od masonerii angielskiej. Obecnie, 23 czerwca 2003r., w 275-lecie tego wydarzenia nigdy dotąd publicznie nie celebrowanego, Prezydent Francji Jacques Chirac przyjął w Pałacu Elizejskim szefostwo 9 różnych francuskich obediencji

nie pozwalają, by drwiono z ich wyznań, natomiast na profanację symboli chrześcijańskich się pozwala. Czyli chrześcijanie słabo bronią swojej wiary. Mam nadzieję, że gdy Parlament Europejski zobaczy Polaków w codziennej działalności politycznej, również stosunek do naszej wiary będzie musiał być zrewidowany. Miejmy nadzieję, że przykład Polski okaże się zaraźliwy i wiele narodów europejskich przypomni sobie o swych chrześcijańskich korzeniach i zechce autentycznie do nich powrócić.

W ramach zacieśniającej się Unii, Europa będzie się stawać coraz bardziej laicką. Rozluźniając unijne więzy, wracać będzie do chrześcijańskich korzeni.

Czy będziemy dążyć do wyprowadzenia Polski z Unii? Przede wszystkim będziemy dążyć do tego, żeby cała Unia powróciła do modelu EWG i do korzeni chrześcijańskich, a jest to cel realny. W tym temacie mamy wielu sojuszników w wielu krajach UE. Wokół tej tematyki powstała w Parlamencie Europejskim, z naszym udziałem, grupa polityczna Niepodległość i Demokracja (ND). Jeżeli ewolucja Unii zmierzać będzie w przeciwnym kierunku, ku jednolitemu państwu federalnemu, to będziemy zmuszeni, broniąc naszej niepodległości, Unię opuścić.

---

masońskich (Grand Orient de France, Fédération Française du Droit Humain, Grande Loge de France, Grande Loge Féminine de France, Grande Loge Traditionnelle et Symbolique Opéra, Loge féminine de Memphis-Misraïm, Loge Nationale Française, Grande Grande Loge Mixte Universelle, Grande Loge Mixte de France – za [www.fm275.org](http://www.fm275.org)).

Okazuje się, że mimo rzekomych różnic i rywalizacji jest coś takiego, jak *Grand Collège des Rites*, czyli wyższa masoneria tajna (Haute Maçonnerie secrète), skupiająca najwyższych rangą masonów różnych rytów (*La Lettre d'Information Pierre de Villemarest* 15.VII.03).

W swoim przemówieniu do nich Chirac dziękował masonom za ich „ważny wkład w opracowanie i promowanie idei republikańskich”, za ich „czynną rolę w obronie i potwierdzaniu zasad republikańskich”, za ich „wkład w narodzenie się III Republiki” i za ich „kluczową rolę w zakorzenianiu ideału republikańskiego we Francji”. Innymi słowy – republika to masoneria. Obowiązujący we Francji od 1905 roku rozdział kościoła i państwa jest ściśle przestrzegany. Między religią masońską, a państwem żadnego rozdziału nie ma.

O tym, że masoneria to religia, świadczą dalsze słowa Prezydenta: „Wpisujecie wasze zaangażowanie w dziedzictwo Oświecenia”; „Ideał masoński, jak Isaaka Newtona, zastępuje dogmatyzm debatą nad postępem naukowym” (W latach 1691-1727 Newton był wielkim mistrzem loży Prioré de Sion - *Święta krew, święty graal* Baignet M. Leigh R. Lincoln H.); „wasze prace realizują się w wolności, w odrzucaniu wszelkiej pewności”; „Masoni promują wartości, które przyniosła Rewolucja Francuska i które głosi Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela”. Słowa te oznaczają, że odrzuca się każdą wiarę, słowo „wierzę” zastępuje słowem „kwestionuję”, Boga zastępuje człowiek. Bogiem staje się postęp naukowy. Nic dziwnego, że z takim uporem Francja odmawia zgody na wpisanie odniesienia do chrześcijaństwa w projektowanej Konstytucji Europejskiej.

*Institut maçonnique de France*, na swej specjalnej stronie internetowej ([www.fm275.org](http://www.fm275.org)) poświęconej omawianej rocznicy pisze wprost, że w XVIII w. „Francja, pierwsza córka Kościoła, stała się pierwszą córą masonerii”. Prezydent w swoim przemówieniu nawet nie wspominał o Francji katolickiej. (Jeżeli nie cytowane inaczej, pozostałe informacje za Arnaud de Lassus „*De Clovis a Chirac ...*”, Action familiale et scolaire nr. 168, VIII 2003).

Dziś nie możemy sobie pozwolić na zupełną izolację, czyli na wyjście z Unii w sposób konfliktowy. Chcielibyśmy osiągnąć taki status, jaki ma Norwegia, a więc współpracę gospodarczą z Unią, możliwość swobodnego podróżowania, ale zachować wolność polityczną. Czyli EEA (European Economic Area) nam odpowiada. Wycofanie się do takiego stanu może się okazać celem również innych krajów, np. Wielkiej Brytanii. Wycofanie się w gronie innych krajów byłoby technicznie łatwiejsze i politycznie skuteczniejsze.

## Niemcy, Rosja i kwestia polska

Polska usytuowana jest między Rosją a Niemcami. Tak jest od tysiąclecia i tego faktu nie zmienimy. Nasz stosunek do tych dwóch trudnych sąsiadów jest konsekwencją ich stosunku do nas. Tym skuteczniej będziemy bronić naszych interesów, im lepiej będziemy znać sąsiadów i ich zamiary wobec nas.

Bazując na doświadczeniach z historii, w największym skrócie możemy powiedzieć, że Rosja zawsze starała się podporządkować sobie Polskę, a Niemcy starały się nas wykorzystać (ausrotten) albo przez germanizację, albo przez eksterminację. Ta bolesna prawda utrudnia normowanie sąsiedzkich stosunków. Przy każdej okazji we wzajemnych relacjach powraca niepokój, że te odwieczne sentymenty dojdą do głosu w przyszłości. Czy to będą rozmowy na temat dostawy gazu, czy na temat Centrum Wypędzenia, niepokój o prawdziwe intencje naszych sąsiadów jest stale obecny. Warto dodać, że nasi sąsiedzi takich obaw przed Polską nie mają. Jeżeli w Rosji podtrzymywana jest pamięć o naszej okupacji Moskwy za czasów hetmana Żółkiewskiego i niepokój przed polskim nawracaniem na katolicyzm (prozelityzm), to ma to znaczenie raczej usprawiedliwiające własny stosunek do Polski niż autentycznej obawy przed nami. Również Niemcy nas się nie boją, choć niewątpliwie mają do nas pretensje, że po I i II wojnie światowej utracili na rzecz Polski terytoria, które uważali za swoje. Chcieliby odwrócić bieg dziejów i tylko szukają sposobów, aby to zrobić bez popadania w konflikt ze światem zachodnim, do którego, wydaje im się, że należą.

Mamy jednak pełną świadomość tego, że różnimy się cywilizacyjnie, że to my należymy do świata zachodniego, do cywilizacji łacińskiej, oraz że do tej cywilizacji jakoś niezupełnie należą Niemcy, a już na pewno nie Rosja.

### *Cywilizacja turańska*

Według Feliksa Konecznego, znanego polskiego historyzofa, Rosja należy do cywilizacji turańskiej.

Cywilizację turańską stworzyli Mongołowie niebiescy za Czyngis-chana. Jej podstawową cechą jest organizacja wojskowa przystosowana do wojny ruchomej. Najlepiej charakteryzują ją pojęcia: obóz-ruch-przestrzeń. Stąd też więzy rodzinne są w tej cywilizacji bardzo luźne.

W cywilizacji tej nie ma prawa publicznego - jest tylko prywatne, wywodzące się z nakazów władcy. Państwo jest folwarkiem władcy, a jego wola – prawem. Społeczeństwo praw nie posiada. Nie wolno mu się organizować - od tego jest państwo. Tak więc wszelkie organizacje są sterowane odgórnie, a wszelka inicjatywa oddolna jest zwalczana. Władza jest absolutna, despotyczna, a ideałem władcy jest srogi kapryśnik. Każdy ma pozycję niewolnika czy sługi wobec przełożonego. Obywateli nie ma w ogóle. Na Zachodzie obywatel żyje również w państwie, turańczyk – wyłącznie w państwie. Nie ma dla niego innych spraw, jak państwowe.

Cała organizacja życia ma charakter wojskowy, rozkazodawczy, stąd też panuje maksymalny centralizm. Biurokracja służy wyłącznie górze, nigdy obywatelom, działa w imieniu władcy i wobec niego jest odpowiedzialna, a nie wobec obywateli. Stąd też

życie jest bardzo zmechanizowane - jak w wojsku. Nie ma w nim elementów organicznych.

Ponieważ organizacja społeczna jest wojenna, rozwija się wtedy, gdy państwo zwycięża, gdy posiada siłę militarną. Gdy brak zwycięstw, zdobyczy, państwo słabnie lub wręcz się rozpada. Stąd też główny wysiłek społeczny zorientowany jest na budowę siły militarnej.

W cywilizacji turańskiej nie powstają narody w europejskim rozumieniu. Są tylko zlepkki ludów, szczepów i ras, których łączy zwycięska gwiazda wodza. Często czerpią swą nazwę właśnie od wodza: Seldżuci, Nogajcy, Osmanowie itd. Dużą rolę odgrywa romantyzm i legenda osnuta wokół postaci wodza. Gdy zabraknie wodza, przychodzi „smuta”, brak drogowskazu, osłabienie. Pojawienie się nowego „dzierzymordy” to koniec „smuty”, to powrót do normalności. U nas jest wręcz odwrotnie. Obecność dyktatury odbieramy jako nienormalność, jako stan przejściowy, który należy jak najszybciej przezwyciężyć. Swoboda, wielość opcji politycznych, spory i różnice zdań, to u nas normalność.

Stosunek do religii w cywilizacji turańskiej jest żaden - z reguły jest to kwestia obojętna dla władcy, byle by duchowieństwo nie wtrącało się w jego sprawy, nie próbowało odgrywać roli państwowej oraz by nie krytykowało władzy. Etyka nie obowiązuje władcy i nigdy nie jest on oceniany z pozycji etyki.

Polska zetknęła się z cywilizacją turańską w jej mongolskim pierwowzorze już w wieku XIII. Był to jednak kontakt tylko przelotny. Pozostał po nim hejnał mariacki i lajkonik, ale niewiele więcej. Później już silniej zetknęliśmy się z cywilizacją turańską, z kilkoma jej kulturami; tatarską, turecką, kozacką i moskiewską. Każda z tych kultur w inny sposób na nas oddziaływała, niekiedy całkiem skutecznie. Abstrahując od kontaktów militarnych, które raczej chronią przed wpływami niż je generują, była u nas swego czasu moda na turecczyznę. Turcja imponowała siłą i przepychem dworu otomańskiego. Szczególnie w XIX w., gdy Turcja nie uznawała rozbiórów Polski, przyjmowała naszych emigrantów i szanowała ich, obdarzając odpowiedzialnymi posadami, tureckość była u nas w modzie. Również kozaczyzna ze swoim umiłowaniem stepów, wolności, ruchu, bywała atrakcyjna. Niejeden zawadiaka, jak Kmicic, marzył o własnym czambule, o życiu w kulbace, o własnej, małej państwowości. Z kontaktów ze Wschodem zrodził się sarmatyzm, ów szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie - z własnym wojskiem, własnym prawem, a często i własną polityką, nawet zagraniczną, jak w przypadku Radziwiłłów czy Paców. Sarmata, jeżeli chciał, był dobrodziejem dla swego otoczenia. Mógł jednak być jego plagą, bowiem czuł się, a często i był, ponad prawem.

W nowszych czasach wpływami turańskimi najbardziej zarażony był tzw. obóz Marszałka Piłsudskiego. Mówimy „obóz” a nie partia, ponieważ gdy inne siły polityczne określały się według ideologii jako narodowcy, ludowcy, socjaliści, chadecy itd., oni określali się – od imienia wodza – jako piłsudczycy. Łączyła ich organizacja wojskowa, tryb rozkazodawczy. Myślenie było źle widziane – „Komendant wie lepiej!” Czuli się postawieni ponad prawem. Zamachy, zabójstwa, więzienie przeciwników (Antokol, Brześć, Bereza Kartuzka) były na porządku dziennym. A przy tym wszystkim romantyzm wojenny, ruchliwość, ofiarność, patriotyzm i ... obojętność religijna.

Wreszcie – myślenie turańskie zabija pracę organiczną, oddolną. Wielu się wydaje, że coś pożytecznego można zrobić tylko odgórnie, tylko poprzez władzę centralną. Tymczasem specyfiką naszej cywilizacji jest zdolność do samonaprawy, do działania na każdym, choćby najniższym szczeblu, by coś wokół siebie ulepszyć, coś zorganizować, coś pożytecznego zrobić.

Wiedząc o tym wszystkim, na ogół skutecznie bronimy się przed wpływami cywilizacji turańskiej. W okresie PRL byliśmy dosyć odporni na cywilizacyjne wpływy Wschodu. Odruchowo odrzucaliśmy wszystko, co stamtąd płynęło. Dziś też nie zapominamy, że Rosja tak łatwo się nie zmieni. Czy Putin to już jest ten car, który tradycyjną metodą wyprowadzi Rosję ze smuty, jeszcze do końca nie wiemy, ale wygląda na to, że ma olbrzymią szansę taką właśnie rolę odegrać i że znajdzie sposób, by swój „demokratyczny” mandat przedłużyć w nieskończoność. Jeżeli tak, to czeka nas następny etap wzrostu siły Rosji poprzez podbój czy wchłanianie państw sąsiedzkich inną metodą. Rozpocznie się ponowne „zbieranie ziem ruskich”, pod którym to pojęciem kryją się nie tylko Białoruś i Ukraina, ale pewnie i republiki środkowo-azjatyckie oraz Europa środkowo-wschodnia, czyli dawne władztwo ZSSR. Nie wolno nam bagatelizować tych tendencji w Rosji. Zagroza nam dziś nie tyle armia rosyjska, co możliwość zakręcenia kurka z gazem czy też ropą.

By się tym tendencjom skutecznie opierać, trzeba mieć przyjaciół na Zachodzie, i to nie tyle w Europie, która nigdy palcem w naszym interesie nie kiwnie, co w USA. Stany Zjednoczone mogą zapewnić nam parasol ochronny przed rosyjskim zagrożeniem.

### ***Cywilizacja bizantyńska***

Według Feliksa Konecznego, Niemcy to teren zmagania się cywilizacji łacińskiej z bizantyńską.

Cywilizacja bizantyńska powstała na bazie opozycji do rzymskiego zachodu. Podstawową kwestią-różnicą w tym zakresie był stosunek do religii. W cywilizacji łacińskiej Kościół Katolicki wywalczył sobie niezawisłość doktrynalną i organizacyjną wobec państwa. Mało tego, wywalczył sobie prawo krytykowania państwa czy też władcy za działanie nieetyczne. W tym m.in. leży istota konfliktu św. Stanisława z Bolesławem Śmiałym. To król musiał stracić koronę za to, że ważył się podnieść rękę na biskupa. Takie w naszej cywilizacji panują zasady.

W Bizancjum było inaczej. Cesarz sprawował władzę również nad religią. Traktował Kościół jak jedno z ogniw swojej władzy, jak sądownictwo czy wojsko. Cesarz narzucał podwładnym religię. Konstantyn Wielki uczynił chrześcijaństwo religią państwową, zadekretował je od tronu. Cesarz sam zwoływał synody i sobory, narzucał im tematykę itd. W konsekwencji państwo znalazło się ponad etyką. Miało być skuteczne, a niekoniecznie etyczne. W kręgu cywilizacji bizantyńskiej polityka nie krępuje się etyką, jest od niej wolna, a więc często barbarzyńska.

Wraz z tytułem cesarskim Święte Imperium Narodu Niemieckiego przejęło od Bizancjum tę właśnie metodę ustroju życia zbiorowego. Stąd, gdy u nas król-biskupobójca tracił koronę, cesarz niemiecki walczył z papieżem o prymat, o cesaropapizm, raz idąc do Canossy, a innym razem narzucając papieżowi swoją wolę.

Od tego czasu do dzisiaj w Niemczech toczy się walka między cywilizacją łacińską a bizantyńską. Na wschodzie Niemiec zawsze dominował bizantyzm. W Nadrenii więcej było elementów łacińskich. Aż strach pomyśleć, jak Niemcy będą ewoluować, skoro stolica wróciła do Berlina. Gdy Krzyżacy nawracali mieczem, nasz Paweł Włodkowic upominał się o prawa pogan. Gdy w Niemczech szalały wojny religijne, u nas państwo było wolne od stosów. Gdy tam funkcjonowała zbrodnicza zasada *cuius regio eius religio* (czyja władza tego religia) i obywatele coraz to musieli zmieniać wyznanie, u nas panowała tolerancja religijna, a prześladowani znajdowali azyl i schronienie.

Nawet katolicka Austria była katolicką z woli władcy, a cesarz ingerował w sprawę Kościoła i liturgii, stawiał *veto* wobec kandydata na papieża itd. (józefinizm). Deklarowany katolicyzm nawet nie przeszkodził Austrii uczestniczyć w rozbiórce Polski.

Niemcy uznają za wielkich swych skutecznych władców: Fryderyka Wielkiego i Bismarcka, mimo tego, że byli nieetyczni w polityce. Hitler był wielki, póki wygrywał. Teraz go za wielkiego nie uznają, bo przegrał. Jego nieetyczność się nie opłaciła, była nieskuteczna.

Bizantyzm nie lubi różnorodności. O ile w Rzymie, a dziś w krajach cywilizacji łacińskiej, łączy się jedność celu przy zachowaniu różnorodności form, o tyle w Bizancjum, a dziś w Niemczech, obowiązuje państwowe ujednoczenie form. Stąd bierze się tak przez nas chwalony porządek, jaki u Niemców obserwujemy. Wynika to z powszechnej gotowości do akceptowania nakazów państwowych. *Befehl ist Befehl!* Rozkaz to rozkaz! I to jest powszechnie akceptowane, podczas gdy my, wychowani w cywilizacji łacińskiej, jesteśmy indywidualistami. Chcemy wszystko robić i urządzić po swojemu.

Karność i posłuszeństwo mają jednak swoją negatywną stronę. „Mechanizują” życie zbiorowe, zabijają to, co oddolne, organiczne, a wprowadzają to, co odgórne, zcentralizowane, biurokratyczne. Przerzucają odpowiedzialność wzwyż. Usprawiedliwiają nawet przestępstwo. Niemieccy przestępcy wojenni zawsze tłumaczą się, że im kazano, że wykonywali rozkazy, że to wina władz. Tymczasem u nas nie tylko takiego rozumowania nie akceptujemy, ale i nasi przestępcy nawet nie próbują się tak tłumaczyć (np. zabójcy ks. Popiełuszki). Każdy odpowiada sam za siebie, a zbrodniczych rozkazów nie wolno nam wykonywać.

Wiąże się z tym też typowa dla bizantyzmu wyższość formy nad treścią. Nie cel jest wspólny, a forma, ona dominuje, choć staje się pustą. Dla nas treść, cel, sens, mają podstawowe znaczenie, a forma jest mało istotna, dopasowujemy ją do własnych wyobrażeń o tym, co jest w danej chwili najważniejsze. Stale więc poszukujemy, udoskonalamy, mimo iż często popełniamy błędy. Bizantyńscy Niemcy do perfekcji doprowadzili odgórnie zadekretowane formy. Łatwo mogliśmy zaobserwować, że u Niemców zarówno kapitalizm (RFN), jak i socjalizm (NRD) funkcjonowały sprawnie. Można też rzec, że faszyzm również funkcjonował sprawnie.

Niemcy nam imponują, często im zazdrościmy, marzymy o ich porządku, funkcjonalności, dobrobycie. Ale chyba dobrze, że tacy nie jesteśmy, bo jest to opłacone właśnie bizantyńską gotowością do podporządkowania się państwu we wszystkim. Nasza siła leży w różnorodności i winniśmy tego bronić.

Niestety, zbyt często akceptujemy bizantyńską gotowość do prowadzenia polityki bez etyki. Zarzut ten dotyczy nie tylko tych, którzy parają się polityką w sposób niemoralny, ale i tych, którzy twierdzą, że polityka to brudna rzecz i umywają ręce, zajmując się wyłącznie swoimi sprawami. Taka postawa oznacza oddanie polityki w ręce tych, którzy się etyką nie krępują – jest więc również bizantyńska. Postawa właściwa dla naszej cywilizacji to włączać się do polityki, działać etycznie i domagać się etyki w polityce, również międzynarodowej. To, że przeciwnicy działają nieetycznie, nie ma nic do rzeczy. Tak samo policja - musi działać etycznie i zgodnie z prawem, choć ma do czynienia z przestępcami.

Każdy powinien dążyć do tego, aby postępować etycznie, odpowiedzialnie i ze świadomością konsekwencji własnych czynów. Rezygnacja z tego pragnienia to główne zagrożenie, jakie płynie dla naszej duchowości z bizantyzmu.

Nie trudno zauważyć, że Unia Europejska ma bardzo wiele cech bizantyńskich, co wynika z tego, że jest w dużej mierze sterowana przez Niemców.

## **Europa niemiecka**

Od 1990 r. mocarstwa zaczęły wycofywać się z Europy, Rosja – do swoich wewnętrznych problemów, a USA – do konfliktów w innych częściach świata. Ostatnio trochę się to zmienia, bo Rosja powraca do poczucia własnej siły, a USA potrzebują Europy, by jakoś wyjść z awantury irackiej. Niemniej jednak to wycofywanie zauważyły Niemcy i próbują wypełnić powstałą lukę swoją przemożną obecnością.

To, że Niemcy próbują przejąć władzę czy też raczej kontrolę nad Unią Europejską, zaczyna być coraz bardziej widoczne. My, Polacy, pierwsi to zauważamy i musimy skutecznie nagłaśniać, by Europa się obudziła. Oto kilka drobnych przykładów. W Parlamencie Europejskim największym grupom politycznym i najważniejszym komisjom przewodniczą Niemcy. Gdy działał Konwent opracowujący europejską Konstytucję, przy pracy tej było obecnych dwóch obserwatorów z Parlamentu Europejskiego, wydelegowanych przez dwie największe grupy polityczne. Chadeacy wysłali Niemca z CDU, a socjaliści Niemca z SDP. W projekcie Konstytucji zawarte są przywileje dla wschodnich landów (byłej NRD), których zabrakło dla innych krajów byłego bloku wschodniego. Mówi się również o armii europejskiej i już Niemcy zaoferowały dla niej wspaniale wyposażone centrum dowodzenia koło Poczdamu (pod Berlinem). Na pewno nikt tak wspaniałych warunków nie zaoferuje. Wspólna waluta, euro, ma „centralę” we Frankfurcie, a nie w Brukseli. To nowa nazwa na markę, a nie na franka czy lira. Bicie monety to prerogatywa państwa. Kto bije ją bez zgody państwa, jest fałszerzem. Dziś zgody udziela Europejski Bank Centralny z siedzibą we Frankfurcie nad Menem.

Mamy w Polsce mniejszość niemiecką i tzw. ślązakowców, żerujących na poparciu państwa niemieckiego. Jest to jednak problem marginalny, natomiast o wiele większym niebezpieczeństwem są proniemieccy Polacy. Kolejne rządy traktowały Niemcy jako głównego adwokata naszego wejścia do Unii Europejskiej. Naiwniacy w rodzaju Cimoszewicza, Hübner czy Kwaśniewskiego sądzili, że Guenter Verheugen to nasz największy przyjaciel. Teraz każdy widzi, że broni on interesów Niemiec kosztem Polski (m.in. nakazując podwyższenie podatków CIT pod groźbą zmniejszenia funduszy strukturalnych dla Polski). Platforma Obywatelska na rozpoczęcie swojej kampanii do Europarlamentu zaprosiła Angelę Merkel, szefową CDU w Bundestagu, zapewne przyszłą



kanclerz. Jest oczywiste, że SLD, SDPL, PO i UW będą wpatrzone w Niemcy i gotowe we wszystkim im ustępować. Na te partie liczyć nie można.

Na barki Ligi Polskich Rodzin spadnie ochrona polskich interesów, zagrożonych ekspansją ambicji niemieckich, i ostrzeganie pozostałych członków Unii Europejskiej o rosnącym zagrożeniu niemieckim.

## USA - Irak

Nasz program nie byłby pełny, gdybyśmy nie wyjaśnili, jakie jest dzisiaj nasze stanowisko w sprawie stosunków Polski z USA i wobec sytuacji w Iraku.

Stany Zjednoczone to dzisiaj jedyne światowe mocarstwo. Do niedawna głównym konkurentem do jego mocarstwowej roli była Rosja ze swoimi satelitami, tzw. „drugi świat”. Ma ona jednak w tej chwili ogromne problemy wewnętrzne, być może już powoli przełamywane, niemniej jednak poziom rozwoju gospodarczego, a przede wszystkim technologicznego, nie tak szybko pozwoli jej na konkurowanie z Ameryką. Bardziej prawdopodobne jest, że głównym konkurentem stanie się jakiś kraj „trzeciego świata”. Najszybciej wydają się w tej chwili rozwijać Chiny i one mogą stać się dla USA konkurentem. Ale kto wie, czy za jedno pokolenie do podobnej roli nie zaczną aspirować Brazylia, Indie czy zjednoczony świat arabski. Niewątpliwie już dzisiaj pretenduje do tego Unia Europejska, która weszła na drogę poszerzania terytorialnego m.in. właśnie po to, by móc stać się dla USA konkurentem.

O ile niewątpliwie wolimy, by dominującą siłą w świecie były Stany Zjednoczone, a nie Rosja, czy któryś z krajów już w coraz mniej uzasadnionej terminologii zaliczanych do „trzeciego świata”, o tyle można by się zastanawiać, czy chcemy należeć do zjednoczonej Europy dominującej nad USA, czy też wolimy, by nadal dominowały USA. Otóż cała nasza polityka, która jest niejako główną wizytówką Ligi Polskich Rodzin, to walka o niedopuszczenie do powstania Republiki Federalnej Europy. Boimy się dominacji niemieckiej, a na to się zanosi w jednoczącej się Europie. Potężna Europa przewodząca światu, ale pod przywództwem Niemiec, nie należy do naszych marzeń. Chcemy, by światu przewodziła Europa chrześcijańska, i w gruncie rzeczy tak rzeczywiście jest po dziś dzień, ale to głównie dzięki jedności ideologicznej w przeszłości, a nie w wyniku obecnej jedności politycznej. Jeżeli na świecie dominuje kalendarz liczony od narodzin Chrystusa, zasada budowania sprawiedliwości oparta na etyce chrześcijańskiej, tolerancja wobec różnic wyznaniowych, rasowych, etnicznych, demokracja polegająca na liczeniu się władzy z wolą podwładnych, jeżeli największym VIP-em świata jest głowa Kościoła Katolickiego, a najpowszechniej używanym językiem, bez którego nie byłaby możliwa międzynarodowa kontrola lotów, międzynarodowa współpraca naukowa i łączność internetowa, jest język angielski, to łatwo uzmysłowimy sobie, ile Europa już dała czy narzuciła światu bez jedności politycznej. Przewaga Europy w tym właśnie sensie jest już faktem i do tego faktu należy też Ameryka - cała, północna i południowa część - bo przecież Ameryka to przedłużenie Europy, tej tradycyjnej, chrześcijańskiej. Wiemy, że Kanada to co innego niż USA, ale wiemy też, że niewiele te kraje różni. Jednak nie obserwujemy planów zdominowania Kanady przez USA czy stworzenia jakiejś federacji obejmującej te dwa państwa. Relacje sąsiedzkie, jakie są między Stanami a Kanadą, odpowiadałyby również nam w Europie.

Stany Zjednoczone mają na świecie różnych przyjaciół, którym pomagają bez wielkiego wtrącania się w ich sprawy wewnętrzne. Należą do nich nie tylko Izrael, o czym każdy wie, ale i m.in. Tajwan, Korea Południowa, Chile, Arabia Saudyjska czy chociażby Wielka Brytania. Ameryka nie pozwala, by przyjaciół atakowano, a gdy zachodzi potrzeba – udziela im pomocy. Przypomnijmy chociażby pomoc udzieloną

Wielkiej Brytanii w wojnie o Falklandy czy Tajwanowi, gdy Chiny kontynentalne próbowały odebrać mu wysepkę Quemoy, leżącą u samych wybrzeży kontynentu. Ostatnio przyszła z pomocą Liberii w Afryce (kraj założony przez USA w XIX w.). Kto się okaże wybrańcem USA w Europie Środkowej po rozpadzie bloku sowieckiego, nie jest jeszcze do końca jasne, ale wydaje się, że jednak Polska. Dobrze to dla nas, czy źle?

Polska zawsze pragnęła niepodległości i wszelką zewnętrzną „opiekę” źle znosiła. Ale dzisiaj nie da się żyć w próżni. Trzeba mieć na świecie przyjaciół i sojuszników. Czy nam się to podobało, czy nie, ZSRR przez 45 lat bronił naszej granicy na Odrze i Nysie. Jeszcze w 1989 r., tuż przed upadkiem Muru Berlińskiego, tylko dzięki interwencji Gorbaczowa udało się Jaruzelskiemu zawrzeć z NRD porozumienie w sprawie Zatoki Pomorskiej, bez którego dzisiaj Szczecin byłby martwym portem, jak Elbląg - zależny od obcych wód terytorialnych. Stany Zjednoczone na pewno są nam duchowo bliższe niż Rosja czy Niemcy. W XX w. dwa razy pomogły Europie pokonać Niemcy, co najpierw dało nam niepodległość po 123 latach niewoli, a potem najlepszą granicę z Niemcami od 1000 lat. To również amerykańskie zwycięstwo w wyścigu technologicznym z ZSRR umożliwiło nam wyzwolenie się spod sowieckiego panowania. Mamy za co być Amerykanom wdzięczni. Stąd bliska przyjaźń z USA byłaby dla nas do zaakceptowania szczególnie, że wiemy, iż na ogół nie oznacza to nadmiernego wtrącania się w nasze wewnętrzne sprawy. Zapewne wtrąciliby się, gdyby ktoś próbował u nas dokonać zamachu stanu lub rozpoczął prześladowanie jakiejś mniejszości, ale to akurat nam nie grozi, bo nawyk tolerancji i demokracji jest u nas o kilka stuleci starszy niż w USA. Amerykańskie wymogi wobec przyjaciół nie są nam straszne.

Tradycyjnie boimy się przewagi ludnościowej, gospodarczej i militarnej Rosji i Niemiec. Status sojusznika USA jest dla nas bardziej wiarygodnym zabezpieczeniem niż jakiegokolwiek gwarancje europejskie. Wiemy, że gdyby Rosja uznała, że wbrew naszej woli potrzebuje przewieźć swe wojska z Kaliningradu na Ukrainę przez Polskę, żadnej pomocy nie udzieli nam Anglia, Francja czy Niemcy. Amerykanie udzielić mogą, choćby na końcu świata, i każdy o tym wie. Zwykle wystarczy, że postraszą pomocą i potencjalnym agresorom odchodzi ochota do ruszania amerykańskich przyjaciół. O takiego sojusznika warto zadbać.

Pamiętajmy także, że w USA żyje Polonia, licząca ok. 10 mln osób. Popieranie kraju swojego pochodzenia nie jest w Stanach Zjednoczonych traktowane jako gest sprzeczny z obowiązkami obywatelskimi wobec USA. Polonia to liczący się elektorat, z którym każdy kandydat do obieralnego urzędu musi się liczyć. Możemy więc liczyć również na poparcie naszych interesów przez obywateli USA polskiego pochodzenia. Chodzi tu zarówno o poparcie polityczne w samych Stanach, jak i zaangażowanie gospodarcze w Polsce. Dzisiaj przyjaźń musi przekładać się na interesy. Chcemy amerykańskich inwestycji w Polsce, a Polonia może tu odegrać dużą rolę inicjatora różnych przedsięwzięć.

W sumie więc jest w naszym interesie być sojusznikiem i przyjacielem USA i powinniśmy się o taki status starać. Z tego tytułu winniśmy się zgodzić na wojskowe bazy amerykańskie w Polsce, mimo że stanowią one sporą uciążliwość. Uciążliwośćią niewątpliwie są kontakty amerykańskich żołnierzy z otoczeniem. Zwykle wokół baz amerykańskich mnożą się domy publiczne, rozwija się handel narkotykami i inna

przestępczość. Mogą też być problemy środowiskowe – hałas trenujących samolotów, spaliny, odpady itd. Z drugiej strony wokół baz powstają nowe miejsca pracy i to nie tylko w sferze rozrywkowej. Bazy mają potrzeby budowlane, zaopatrzeniowe, oświatowe, z zakresu usług komunalnych, same zatrudniają lokalnych cywilów do różnych prac przygodnych itd. Potrafiliśmy żyć w sąsiedztwie baz rosyjskich, to i przy amerykańskich wytrzymamy. Ponadto sama obecność wojsk amerykańskich na naszym terytorium stanowi zabezpieczenie przed ewentualnymi zakusami naszych sąsiadów tradycyjnie stanowiących dla nas zagrożenie. Obecność baz amerykańskich w Anglii, Niemczech, Japonii, na Tajwanie, nawet na Kubie, wcale nie oznaczała ograniczenia suwerenności tych krajów. W sumie więcej argumentów przemawia za wyrażeniem zgody na amerykańskie bazy w Polsce.

Natomiast zupełnie czym innym jest współpraca z Ameryką i udostępnianie jej baz, a czym innym uczestniczenie w amerykańskich wojnach kolonialnych. Co prawda symbolicznie, ale uczestniczyliśmy już w trzech takich wojnach: na Haiti i dwa razy w Iraku. Otóż wojny kolonialne nie należą do naszej tradycji. Jesteśmy sojusznikiem wiarygodnym i umów dotrzymujemy – to wykazaliśmy wielokrotnie w naszych dziejach. Ale udział w wojnach kolonialnych, na obce zamówienie i w obcym interesie, źle wspominamy. Napoleonowi służyliśmy wiernie, bo bił naszych rozbiorców: Austrię, Prusy i Rosję, ale o to, że wysłał naszych wiarusów na Haiti, mamy do niego pretensje. Teraz Amerykanie ciągną nas na swoje wojny, w których wcale uczestniczyć nie musimy. Zobowiązania wynikające z uczestnictwa w NATO nie sięgają Iraku. Atak 11 września 2001 r. na USA był uzasadnieniem do udzielenia temu krajowi pomocy w walce ze światowym terroryzmem, nawet w wojnie w Afganistanie, gdzie, jak ustalono w sposób udokumentowany, terroryści mieli swoje bazy. Jednakże związek Iraku ze światowym terroryzmem udokumentowany nie został.

Wojna z Saddamem Husajnem ma w sposób oczywisty związek z konfliktem izraelsko-palestyńskim. To zrozumiałe, że Izrael, stojąc sam w obliczu świata arabskiego, pragnie mieć silnego sojusznika w pobliżu. Od dawna więc nalega na USA, by się na tym terenie zaangażowały. Ale to nie znaczy, że również i my mamy deklarować się po którejkolwiek ze stron w tym konflikcie. Możemy i powinniśmy pozostać neutralni.

Niestety stało się inaczej. W wojnę iracką zaangażował nas prezydent Kwaśniewski, nawet nie pytając Sejmu o zgodę, którą zapewne by i tak uzyskał, gdyż nie tylko SLD by ją wyraziło, ale również PO i PiS, głuche na apele Ojca Świętego. Mamy taką sytuację, jaką mamy. Jesteśmy stroną w tej wojnie. Teraz pojawia się pytanie, czy powinniśmy tam pozostać w roli okupanta.

Tutaj sytuacja jest trochę odmienna. Polska ma tradycję uczestniczenia w różnych akcjach pokojowych na całym świecie pod auspicjami ONZ, od Korei po Bliski Wschód. Uczestniczymy też w operacjach stabilizacyjnych na Bałkanach. Mamy opinię kraju neutralnego nadającego się do takiej roli. Jesteśmy zaprzyjaźnieni z krajami arabskimi, w tym z Irakiem, gdzie nasza obecność gospodarcza i kulturowa (m.in. wymiana studentów) przez wiele lat tworzyła bazę dla dobrej współpracy. Winniśmy się starać zmienić status naszej obecności w Iraku z roli okupanta do roli operacji pokojowej z mandatu ONZ. Nasze doświadczenie i znajomość samego Iraku pozwoli odegrać tam pozytywną rolę. Winniśmy też zadbać o los chrześcijańskiej

mniejszości w tym kraju, dzisiaj zagrożonej przez islamski fundamentalizm. Natychmiastowego wycofania swego wojska, jak uczyniła to Hiszpania, w żaden sposób popierać nie wolno. Popsułyby to nasze stosunki z USA, wprowadziło chaos i zostawiło złą o nas pamięć w Iraku, odebrałoby weteranom wojny irackiej poczucie dobrze spełnionej misji i obniżyłoby prestiż Polski na świecie. Nie zmienia to faktu, że aktywnie szukać trzeba politycznych sposobów zakończenia tej wojny, a co najmniej włączenia w nią ONZ. Rozsądny wydaje się pomysł polski, by zacząć budować demokrację w Iraku od wyborów samorządowych wszędzie tam, gdzie się je już da przeprowadzić. Lokalne społeczności tu i ówdzie już są gotowe przejąć odpowiedzialność za swoje sprawy. Przyjdzie to łatwiej niż szukanie wspólnej, demokratycznie wybranej władzy nad całym krajem, posiadającej równocześnie aprobatę sunnitów, szyitów i Kurdów. Etap samorządowy może stać się szkołą demokracji. Nie jest też wykluczone, że koniecznym może się okazać podział kraju. Ostatecznie obecne granice wytyczyli Anglicy i Francuzi po I wojnie światowej, na gruzach pokonanego Imperium Otomańskiego, bez pytania ludności lokalnej o zdanie.

Jesteśmy poważnym krajem i musimy ponosić konsekwencje swoich, czasami nawet błędnych, decyzji. Nie jest tak, że wybraliśmy się do Iraku po łupy w postaci zamówień płatnych w petrodolarach, a skoro ich nie ma – i do tego okazuje się jeszcze, że tam strzelają i można zginąć – to pakujemy nasze zabawki i wracamy do domu. Oczywiście chcemy, by nasi żołnierze wrócili jak najszybciej, cali i zdrowi, ale z poczuciem dobrze spełnionej misji. Chcemy, by wrócili z kraju, który udało się uspokoić, odbudować i przywrócić do normalnego życia. Chcemy by nasze wyjście, oby jak najszybsze, obyło się w sposób godny, a nie jako ucieczka przed trudnościami czy zagrożeniem. Dobrym pomysłem jest przeniesienie naszych wojsk na inny trudny teren, ale już wyraźnie jako misja pokojowa, np. do Darfuru w Sudanie czy do Afganistanu.

Jeżeli nasz sojusz z USA ma mieć charakter poważny, to nie możemy go uzależniać od bieżących drobiazków, takich jak trudności wizowe czy przegrany kontrakt BUMAR-u. Ci, co myśleli, że pójście do Iraku automatycznie spowoduje udogodnienia dla nas ze strony USA, wykazują infantylnizm w myśleniu politycznym. Ani amerykańska odmowa uchylecia obowiązku wizowego, ani nasza odmowa udziału w wojnie w Iraku czy gdzie indziej, nie powinny naruszać istoty naszych dwustronnych stosunków. Powinny być one dobre, bo wynika to z istoty wzajemnych potrzeb strategicznych. Musimy o nie dbać, ale z pozycji partnera, nie petenta czy posłusznego wykonawcy poleceń aktualnego rezydenta Białego Domu. Nikt nas nie będzie szanował, jeżeli nie będziemy sami siebie szanowali. Sugestia, by tak, jak Brazylia, zastosować tytułem retorsji utrudnienia wizowe dla obywateli USA, to przykład takiego infantylnizmu. Uderzylibyśmy tylko w Polonię amerykańską, która stanowi przytłaczającą część przyjeżdżających do nas obywateli USA. Przecież nie chcemy ograniczania tych przyjazdów! Podobnie obrażanie się o przegrany przetarg na kontrakty w Iraku, to też infantylnizm. Cóż w tym dziwnego, że Amerykanie za swoje pieniądze zlecają swojej firmie, a nie naszej, i to na dodatek oferującej usługę po niższej cenie? Lepiej sami nauczymy się, jak traktować obce oferty w ogłaszanych u nas przetargach!

W stosunkach z USA wyzbyć się musimy zarówno budzącego pogardę lizusostwa, jak i denerwującego pieniactwa w drobiazkach.

## Kraje odległe

Polska jest krajem, który tradycyjnie ma i chce mieć dobre stosunki ze wszystkimi krajami świata. Bolesna i pogmatwana historia powoduje, że stosunki z najbliższymi sąsiadami są często najtrudniejsze, ale nie ma żadnych powodów, abyśmy z dalszymi sąsiadami – odleglejszymi krajami – mieli złe stosunki. Nasza filozofia jest taka: są między nami różnice, ale nie wtrącamy się w sposób funkcjonowania innych krajów. To ich własna sprawa. Z naszej strony są tylko dwa postulaty, po pierwsze: by żyjąca w danym kraju Polonia była traktowana bez dyskryminacji, czyli by mogła normalnie funkcjonować, żyć swoim życiem i utrzymywać kontakty z macierzą. Drugi postulat łączy się z pierwszym, ale ma znaczenie uniwersalistyczne. Pragniemy swobody dla Kościoła Katolickiego, by mógł prowadzić pracę misyjną i obsługiwać swoich wiernych. Wśród tych wiernych z reguły znajdują się żyjący w danym kraju Polacy, jeżeli takowi są. Czyli chcemy tolerancji dla polskiej diaspory i dla katolików.

Kościół Katolicki wszędzie tam, gdzie tylko istnieje, domaga się jako absolutnego minimum dla swoich wiernych dwóch podstawowych praw, prawa do życia w monogamicznym, nierozzerwalnym związku małżeńskim oraz niezależności od kogokolwiek w zakresie tego, co Kościół naucza. W krajach, które tych postulatów nie spełniają, Kościół albo schodzi do podziemia, do katakumb, czyli działa z ukrycia, albo usuwa się w ogóle. Z reguły w krajach nie spełniających tych warunków Polonii nie ma. Dotyczy to np. Arabii Saudyjskiej czy Chin. Kiedyś była w Chinach duża polska kolonia, np. w Harbinie, ale było to w czasach, gdy tolerowano tam funkcjonowanie Kościoła Katolickiego. Obecność w danym kraju mniejszości katolickiej, np. ludzi pochodzących z Polski, wraz z dostępną dla nich posługą religijną, to okazja do osvajania lokalnych władz z zasadą tolerancji religijnej, czyli uczenie ich europejskich, łacińskich norm postępowania z mniejszościami wyznaniowymi, a co za tym zwykle idzie – również i etnicznymi.

Jeżeli chodzi o kraje, w których takiej minimalnej tolerancji nie ma, to ich stosunki z Polską będą się ograniczać do wymiany handlowej. Wszelkie udawanie bliskości ideologicznej, jak np. z Chinami czy Koreą Północną w czasach PRL, prowadzą donikąd. Nic trwałego na bazie takich kontaktów powstać nie może. Mogą być interesy handlowe i ewentualnie funkcjonowanie we wspólnym bloku wojskowym, ale w tym drugim przypadku z małym prawdopodobieństwem wzajemnej przydatności.

Stosunek Chin czy Arabii Saudyjskiej do Kościoła Katolickiego znany jest od dawna i w rezultacie nie ma tam polskiej diaspory. Ale dziś pojawił się nowy temat. W krajach, w których tradycyjnie zawsze było sporo Polaków, pojawia się nietolerancja wobec Kościoła. Wszystko odbywa się pod hasłami rzekomej tolerancji, ale w imię nie drażnienia uczuć wyznawców innych wyznań stawia się ograniczenia dla działalności i nauczania Kościoła Katolickiego. Przystępstwem staje się publiczne demonstrowanie symboli religijnych, głoszenie nauki Kościoła o takich sprawach, jak homoseksualizm, aborcja czy antykoncepcja, organizowanie procesji eucharystycznych, demonstracji przeciwko aborcji, zbroczeniom i profanacjom. Wkrótce może dojść do tego, że nawet w takich krajach, jak Kanada, Szwecja czy Francja Kościół zacznie schodzić do

działalności podziemnej, do katakumb. W stosunkach z takimi krajami zawsze musimy stawiać jako jeden z naszych najważniejszych postulatów prawo Kościoła do głoszenia swojej nauki. Polska winna się stać krajem awangardowym w tej mierze. To powinno być naszą wizytówką w relacjach z krajami całego świata, najlepiej i najłatwiej w imię interesów polskiej diaspory w danym kraju, ale nie tylko. Chodzi o tolerancję dla jawnego głoszenia nauki Kościoła Katolickiego wszystkim, bez względu na kolor skóry, narodowość czy obywatelstwo.

Ważnym naszym postulatem w relacjach z krajami całego świata winna być troska o dobre imię Polski. Bardzo często w różnych krajach pojawiają się obraźliwe wobec Polski wypowiedzi polityków czy też opinie w mediach. Szczególnie jeżeli są to media publiczne lub wielkonakładowe, nasza reakcja musi być natychmiastowa i zdecydowana. Tak się niestety dzieje, że w wyniku wrogiej nam propagandy, zwykle mającej źródło w Niemczech, próbuje się obciążać Polskę za winy innych. Chodzi o takie sprawy, jak nasz rzekomy współdziałanie w holocauście Żydów, jak nasza rzekoma odpowiedzialność za wywołanie II wojny światowej, rzekoma nietolerancja wobec mniejszości wyznaniowych i etnicznych, rzekoma wina za „wypędzania” i tym podobne. Na wszelkie tego typu oskarżenia w mediach czy podręcznikach szkolnych, na wszelkie określenia typu „polskie obozy koncentracyjne”, „naziści w Polsce” (bez podania narodowości tych „nazistów”), „tradycyjny polski antysemityzm” i inne, reakcja musi być natychmiastowa i sięgająca najwyższego szczebla. Po to są służby dyplomatyczne, by pilnować naszych spraw oraz odpowiednio szybko i energicznie reagować. Uczmy się od Żydów! Jak oni potrafią szybko i skutecznie reagować na każdą krytykę kierowaną pod ich adresem! Powinniśmy robić to samo. Zresztą większość krajów tak czyni, a nasza opieszałość powoduje, że pozwalamy na rozprzestrzenianie się krytycznych opinii wobec Polski. Tu zwykle szybsza i skuteczniejsza jest Polonia. Ale zawsze pytają: gdzie jest polska ambasada i polskie MSZ? Pretensje w tej mierze słyszymy tak często, że konieczne jest dokonanie gruntownych zmian w funkcjonowaniu naszej służby dyplomatycznej, zmian nie tylko kadrowych, ale i w przedmiocie świadomości co do zadań, roli i zakresu obowiązków.

Innym postulatem do realizacji w naszych relacjach z krajami całego świata winna być wzajemność w sprawach handlowych, transportowych, wizowych, azylu, ekstradycji, prawnych, zwrotu skradzionych dzieł kultury, uznawania dyplomów i innych. Jest rzeczą normalną, że we wszelkich relacjach dwustronnych każda ze stron próbuje zabezpieczyć swoje interesy. Zbyt często bywało tak, że Polska robiła ustępstwa, nie uzyskując w zamian nic. W imię dobrych stosunków nieraz trzeba iść na ustępstwa, ale trzeba też umieć dbać o własne interesy i uzyskiwać coś w zamian.

I jeszcze jedna uwaga. Nic tak nie poprawia stosunków dwustronnych, jak posiadanie w danym kraju autentycznych przyjaciół. Takimi przyjaciółmi z reguły są byli studenci naszych uczelni, najlepiej ich absolwenci. To jest inwestycja, która zawsze się opłaca. Trzeba więc dogadać się w sprawie wymiany studentów, zaoferować stypendia, poszukać analogicznych dla polskiej młodzieży i reklamować możliwość studiowania w Polsce przez zainteresowanych. W tej mierze więcej się robiło w czasach PRL-u, a owoce tego dopiero teraz zbieramy, opierając dwustronne stosunki na ludziach, którzy Polskę znają i z reguły dobrze wspominają.

## Bezrobocie

Jednym z największych problemów Polski dnia dzisiejszego jest bezrobocie. Wszyscy o tym mówią, wszyscy o tym wiedzą. Ale jakie rozwiązania są proponowane?

Główną propozycją dla młodych bezrobotnych, dla świeżo upieczonych absolwentów, jest emigracja. W okresie kampanii referendalnej na temat wejścia do Unii Europejskiej mówiono młodym z zachwytem: WYJEDZIECIE!

Kłamstwo to miało bardzo krótkie nogi. Wnet się okazało, że w dotychczasowych krajach Unii Europejskiej także jest bezrobocie i w związku z tym nie wpuszczą nas one łatwo na swój rynek. Ta oferta była blefem propagandowym i niczym więcej. Teraz okazało się, że jedynie Irlandia i Wielka Brytania przyjmą polskich pracowników i to z ograniczeniami, bo nie będą im przysługiwały takie udogodnienia społeczne, jak rodzimym pracownikom. Chodzi oczywiście o pracę najniżej płatną, niewymagającą kwalifikacji (sprzątanie, winobranie, zbieranie truskawek itd.). Jeżeli świat zachodni będzie potrzebował specjalistę z Polski, to go oczywiście przyjmie. Już teraz przyjmuje i przyjmował na długo przed akcesją do Unii Europejskiej. Ma to charakter drenażu mózgow. Ludzie dobrze wykształceni i o wysokich kwalifikacjach bez problemu znajdują pracę również w Polsce. Wyjeżdżają nie z powodu bezrobocia, ale dla lepszych zarobków. Ich wyjazd nie zwalnia miejsc pracy, bo to właśnie tacy wykształceni, operatywni ludzie generują miejsca pracy swoją aktywnością. Tak więc emigracja, przynajmniej do UE, problemu bezrobocia nie rozwiąże. Należy się liczyć, że z nawiązką zostanie zrekompensowana imigracją zarobkową ze wschodu.

Miejsca pracy trzeba tworzyć w Polsce. Tu musimy znaleźć rozwiązanie problemu bezrobocia, nie tylko po to, by podnieść ogólną zamożność społeczeństwa, ale i po to, by przeciwdziałać emigracji, byśmy niepotrzebnie nie wyzbywali się substancji biologicznej, która decyduje o naszej sile. Tym bardziej świat będzie się z nami liczył, im będzie nas więcej i im wyższa będzie u nas stopa życiowa.

Podstawową przyczyną bezrobocia w Polsce jest uciekanie nie ludzi, ale miejsc pracy do Unii Europejskiej. Ma to związek z warunkami, jakie przyjęliśmy wraz z podpisaniem układu stowarzyszeniowego. Wolność handlu z Unią polega na tym, że nam bardzo trudno dostać się z naszymi towarami na jej rynki, zaś ona swobodnie sprzedają swoje towary u nas. Ocenia się, że w wyniku tych nierównoprawnych pozycji „uciekło” z Polski do Unii 1,5 ml miejsc pracy. Po naszej akcesji zjawisko to się nasila, bo doszło do kompletnej likwidacji opłat celnych na towary unijne. Ponadto nasz rolnik musi konkurować z rolnikiem ze starych krajów członkowskich (tzw. piętnastki), otrzymującym dopłaty czterokrotnie wyższe niż rolnik polski.

Mimo tego, jak wykazała praktyka, po wejściu do Unii nasze produkty rolne są konkurencyjne na tamtejszym rynku. Gwałtownie wzrósł eksport. Spowodowało to jednak gwałtowny wzrost cen artykułów spożywczych u nas. Nie idzie za tym wzrost płac, a więc obserwujemy pauperyzację społeczeństwa. By odczuć korzyści z eksportu produktów rolnych, musi wzrosnąć ich produkcja, a tego w parę miesięcy się nie osiągnie - potrzeba czasu i sprzyjających warunków ekonomicznych.



Jaka na to rada? O opłacalności eksportu decyduje nie tyle wydajność producenta, co czynniki od niego niezależne, takie jak cła, stopy kredytowe, podatki i kursy walut.

Ceł w relacji z Unią już nie mamy, ale są narzucone nam limity produkcyjne. Znajdą się bez problemu jeszcze inne sposoby, by nasz eksport w tamtym kierunku ukrócić. Pozostają cła w relacjach z krajami spoza Unii. Kiedyś dużo eksportowaliśmy na Wschód. Z tamtego rynku wyparły nas kraje zachodnie, głównie z powodu głupiej polityki naszych władz, które dążyły do ograniczania wszelkich relacji z Rosją. Musimy się postarać te rynki odzyskać. Tu o warunkach celnych decyduje Unia. Rosji nie udało się narzucić nam gorszych warunków niż wynegocjowane dla starych krajów Unii (tzw. piętnastki). W polityce celnej wielkiego pola manewru nie mamy, ale eksport można wspierać na wiele innych sposobów.

O konkurencyjności naszych towarów w dużym stopniu decyduje stopa podatkowa. Niższe podatki to większa opłacalność produkcji, a więc większa szansa, że produkt trafi na rynki obce. Dużo się mówi o reformie systemu podatkowego, o obniżeniu kosztów produkcji i zatrudnienia tak, by zatrudnienie dodatkowego pracownika było tańsze. O tych sprawach decyduje rząd, jeszcze nasz, warszawski. Sprawy podatkowe nie należą jeszcze do kompetencji Unii Europejskiej, a więc możemy je kształtować sami tak, żeby to było korzystne przede wszystkim dla naszych producentów. Jednakże już pojawiają się próby ingerowania w nasz system podatkowy. Niemcy zażądali, byśmy podnieśli podatki od przedsiębiorstw, bo inwestycje uciekają od nich do nas. Jak na razie nie ulegamy tym naciskom i ulegać nam nie wolno.

Bardzo ważnym elementem opłacalności jest wysokość stóp kredytowych. O tym decyduje nie rząd, ale Narodowy Bank Polski i Rada Polityki Pieniężnej. Na razie składa się ona głównie z ludzi pochodzących z układu „okrągło-stołowego”, czyli myślących bardziej internacjonalistycznie niż patriotycznie. Ale z czasem i skład tej Rady trzeba będzie zmienić, a w szczególności jej prezesa, czyli prezesa NBP, Leszka Balcerowicza. Bez współpracy NBP z rządem w sprawie opłacalności produkcji bardzo trudno będzie zredukować bezrobocie.

Na sprawę kursu walut nie mamy zbyt wielkiego wpływu. Można by ogłosić urzędową dewaluację złotego, ale jest to mechanizm z poprzedniej epoki. Lepiej ręcznie tych spraw nie regulować. Rząd ma zawsze możliwość wpływania na zaufanie do złotówki i, w razie potrzeby, spowodować zmniejszenie tego zaufania, co skutkować będzie zwiększeniem opłacalności eksportu i nieopłacalności importu. Ostatnio występowały zmiany w relacji między dolarem a euro. Ponieważ importujemy głównie ropę i gaz, rozliczane w dolarach, a eksportujemy głównie do strefy euro, zmiana na korzyść euro okazała się dla nas korzystna i stąd ostatnia poprawa wskaźników gospodarczych, którymi tak bardzo chwalił się rząd Millera i wciąż chwali rząd Belki. Ale ostatnie wahnięcie jest w drugą stronę. Dolar rośnie w siłę. Działa to na naszą niekorzyść. Niestety jednak Polska nie ma żadnego wpływu na relacje między dolarem a euro. Nie należy więc przypisywać sobie konsekwencji tych relacji. My możemy jedynie wpływać na kurs złotówki.

Do redukcji importu można się też przyczynić promocją polskich towarów. Hasła „Kupuj polskie” czy też „Dobre, bo polskie” w jakimś zakresie oddziałują na konsumentów. Należałoby zwiększyć propagandę w tym kierunku. Trzeba ludzi

zmobilizować, by zawsze sprawdzali, co kupują, sprawdzali nalepkę na towarze, czy poświadczą rodzimość produkcji. Unia robi nam trudności z takimi akcjami promocyjnymi, bo podobno są niedemokratyczne i niewolnorynkowe.

Ogólnie rzecz biorąc, aby zlikwidować bezrobocie, trzeba ułatwić małym i średnim przedsiębiorstwom tworzenie nowych miejsc pracy. Duże przedsiębiorstwa same dyktują warunki i z reguły dążą do ograniczenia zatrudnienia. Natomiast małe, rozwijając się, tworzą miejsca pracy. Trzeba więc wspierać tworzenie nowych miejsc pracy różnymi zachętami podatkowymi.

Nad powyższymi kwestiami dyskutują wszyscy, brak jednak woli realizowania programu tworzenia nowych miejsc pracy. Jest jednak jeszcze inna możliwość polegająca na lepszym gospodarowaniu posiadanymi miejscami pracy. Mechanizacja i komputeryzacja prac powoduje, że stale maleje i nadal maleć będzie zapotrzebowanie na pracę. Czyli problem bezrobocia będzie się nasilał na skalę światową. Nie ma problemu z wyprodukowaniem każdej potrzebnej ilości dowolnego towaru. Problem jest ze sprzedażą, czyli z popytem. Ludzie za mało mają pieniędzy, by ten towar kupić. A pieniądź to przecież tylko narzędzie, forma zapisu, wzajemnych należności. Jak zwiększyć popyt bez wzrostu zatrudnienia?

Mamy dzisiaj z jednej strony bezrobocie, a z drugiej konieczność posiadania dwóch pensji w rodzinie, czyli konieczność pracy zarobkowej kobiet. Matka zajmująca się dziećmi w domu pracuje, ciężko pracuje. Tę pracę trzeba dowartościować i opłacić poprzez odpowiednie ulgi rodzinne. Trzeba stworzyć taki system, by kobiety, które tego chcą, mogły zrezygnować z pracy zarobkowej na rzecz pracy we własnym domu przy dzieciach. Piszę o tym w rozdziale o programie pro-rodzinnym. Dodam, że taki system jest możliwy do stworzenia, a wystarczy tylko przestać ulegać propagandzie feministek, którym na ogół w życiu domowym się nie powiodło i wyżywają się, sprzedając swoją antyrodzinną filozofię politykom. Hasło równości mężczyzn i kobiet będzie prawdziwe dopiero wtedy, gdy uznamy, że się różnimy i mamy biologicznie zdeterminowane, odmienne obowiązki. Uszanujmy te różnice i dowartościujmy kobiece obowiązki w domu.

Oczywiście te kobiety, które pragną pracować zarobkowo, muszą mieć do tego pełne prawo, ale nie powinniśmy sprowadzać prawa do obowiązku. Zawsze będą kobiety czy to bezdzietne, czy to pragnące się realizować w swojej wyuczonej specjalności, czy wreszcie te, których dzieci już „wyfrunęły” z domu i które pragną się zająć czymś poza domem. Może też się zdarzyć, że kobieta posiada wyższy potencjał zarobkowy od męża i to on przejmie obowiązki domowe. Nie wymagajmy jednak pracy zarobkowej od tych kobiet, które wolałyby się zająć dziećmi w domu, ani od pracodawców, aby ponosili koszty macierzyństwa swych pracowników. Te sprawy winny regulować ulgi podatkowe i zasiłki państwowe. Zmniejszy to napór płci pięknej na rynek pracy zarobkowej i zachęci przedsiębiorców do tworzenia nowych miejsc pracy.

## **Program prorodzinny**

Liga Polskich Rodzin z założenia jest ukierunkowana na troskę o rodzinę. Stąd w naszym programie społecznym do każdego tematu podchodzimy z punktu widzenia interesu rodziny. Polityka gospodarcza musi mieć na względzie zdrowie społeczne. Im więcej ludzi jest zadowolonych, samodzielnych, posiadających nieruchomości, gospodarujących na swoim, dorabiających się własną pracą, czujących związek między wysiłkiem a zarobkami, niezagrażonych zwolnieniem z pracy, wyłączeniem czy eksmisją, troszczących się o swoje sprawy bez czyjejkolwiek krzywdy, tym sprawniej funkcjonuje państwo. Ten organiczny związek polityki gospodarczej z polityką społeczną jest koniecznym elementem programu narodowego. Program maksymalizacji liczby podmiotów gospodarczych to równocześnie program wspierania małych firm, najlepiej rodzinnych. W takich firmach łatwiej panować nad korupcją, trudniej ukraść, trudniej oszukać.

Są sprawy z zakresu polityki społecznej, które zasługują na szczególne wypunktowanie i omówienie.

### **Demografia**

Tym będziemy silniejsi jako Naród i państwo, im będzie nas więcej. To wielokrotnie głosił Prymas Wyszyński. Dlatego potrzebna jest polityka pronatalistyczna. Obecnie, tak jak cała Europa, wymieramy - więcej osób umiera niż się rodzi. W tej mierze są jeszcze wahania w niektórych latach, co ma związek z liczebnością poszczególnych roczników wchodzących w etap wzmożonej rozrodczości i wzmożonej umieralności, ale reprodukcja netto od wielu już lat jest poniżej prostej reprodukcji. Spójrzmy na liczby:

rok	1950	1960	1965	1970	1975	1980	1985	1990	1995	2000	2001	2002	2003
rep.n.	1,491	1,339	1,150	1,011	1,059	1,073	1,10	0,967	0,765	0,640	0,617	0,599	0,588

Reprodukcja netto (rep.n.) to średnia liczba córek przypadająca na jedną kobietę, przy założeniu, że kobieta w wieku rozrodczym będzie rodzić z częstotliwością, jaką charakteryzują się wszystkie kobiety rodzące w roku, dla którego oblicza się współczynnik reprodukcji, umniejszona o córki, które nie dożyją wieku swoich matek. Czyli wartość 1,000 oznacza prostą reprodukcję - po każdej kobiecie zostanie średnio jedna córka zdolna do reprodukcji. Oznacza to, że pod koniec lat sześćdziesiątych zeszliśmy do poziomu reprodukcji prostej. Potem nastąpiło lekkie ożywienie, ale w latach osiemdziesiątych rozpoczął się znowu spadek, który trwa do dzisiaj. Gdy współczynnik zejdzie do 0,500, to co pokolenie będzie się nas rodzić o połowę mniej. Czyli model rodziny z jednym dzieckiem lub bezdzietnej będzie dominujący.

Można by się zastanawiać, co spowodowało ożywienie demograficzne w latach siedemdziesiątych. Weszły wtedy w wiek reprodukcyjny liczne roczniki powojenne, jednakże metoda liczenia współczynnika reprodukcji netto eliminuje wpływ takich czynników na reprodukcję. Mają one wpływ na ogólną liczbę urodzin, ale nie na współczynnik reprodukcji netto. Niewątpliwie owo ożywienie miało związek z wprowadzeniem urlopów wychowawczych, z wydłużeniem urlopu macierzyńskiego i żywiołowym rozwojem budownictwa mieszkaniowego (gierkowskie blokowiska). Czyli poprzez politykę społeczną można wpływać na poziom rozrodczości.

Dzisiaj wielkość rodziny to główny czynnik decydujący o jej zamożności. O zamożności winien zaś decydować charakter wykonywanej pracy, jej trudność i stopień społecznej przydatności, a więc i wykształcenie. W sytuacji, gdy wielodzietność

automatycznie oznacza pauperyzację, powstaje niechęć do dzieci. Całe obecne życie w Polsce, a właściwie w całym świecie zachodnim, jest tak zorganizowane, by dzieci było jak najmniej, by nie przeszkadzały matkom w karierach zawodowych. Dwie pensje w rodzinie stały się ekonomiczną koniecznością. Posiadanie dzieci stało się prywatną sprawą rodziców, ich przyjemnością lub kaprysem. Tymczasem dzieci to przyszłość Narodu. One będą pracować na emerytury nie tylko dla swoich rodziców, ale i dla tych wszystkich, którzy dzieci nie mają, mają ich mało lub których dzieci wyemigrowały. Potrzebna jest aktywna polityka pronatalistyczna państwa i społeczne dowartościowanie wielodzietności.

Nie oznacza to jednak, że proponujemy powrót do pronatalistycznej polityki lat siedemdziesiątych. Była z gruntu socjalistyczną. Dawała ułatwienia jedynie kobietom pracującym zarobkowo, a nie tym, które zdecydowały się poświęcić pracy przy dzieciach, w domu. Bez dowartościowania tej pracy nie będzie znaczącej wielodzietności. Musimy tak urządzić życie społeczne, żeby jak najwięcej kobiet chciało i mogło pozostać w domu przy dzieciach.

Zawsze pozostaną kobiety, które z takich czy innych przyczyn pozostaną na rynku pracy. Dla nich muszą być ułatwienia w postaci urlopów macierzyńskich i wychowawczych, ale na koszt państwa, a nie pracodawcy.

Na sytuację demograficzną ma wpływ nie tylko rozrodczość, ale i długość życia oraz różnica między emigracją a imigracją.

O długości życia decyduje jakość służby zdrowia, jakość opieki nad osobami starszymi i akceptacja obecności emerytów w rodzinie. Oczywiście chodzi nie tylko o to, by ludzie dłużej żyli, ale i o to, by dłużej byli zdrowi, by dłużej czuli się i rzeczywiście byli przydatni. Do czego może być przydatny starszy człowiek? Oczywiście, jeżeli jest sprawny i pracodawca go potrzebuje, to niech go dalej zatrudnia - to sprawa między nim a pracodawcą, a państwu nic do tego. Jeżeli przechodzi na emeryturę, to winien mieć możliwość wykonywania przydatnej pracy, dopóki siły mu na to pozwolą. Może to być praca we własnym zawodzie, może to być praca zupełnie inna, np. twórcza, pisanie pamiętników czy wierszy, realizacja hobby, na które nigdy nie było czasu, lub, i to chyba najważniejsze, pomaganie dzieciom i wnukom. Obecność starszego człowieka w rodzinie – to powinna być norma.

W takich rodzinach również rodzi się więcej dzieci, dlatego, że młodym łatwiej się na nie zdecydować, gdy wiedzą, że mają na kogo liczyć w razie potrzeby, choćby w takich kwestiach, jak chwilowe przejęcie opieki nad małymi dziećmi.

Wreszcie temat emigracji i migracji, ostatnio mocno wpływający na liczebność państwa. Polska już tradycyjnie co pokolenie traci dużą część swojej ludności na rzecz innych krajów. Z przyczyn politycznych lub ekonomicznych ludzie wyjeżdżają do Zachodniej Europy, obu Ameryk, a nawet do Oceanii. Ponieważ celem polskiej emigracji są kraje cywilizacji zachodniej, łaćńskiej, tej samej, co nasza, więc łatwo się ona integruje w miejscu osiedlenia. Zwykle Polacy wynaradawiają się już w drugim pokoleniu, a bywa, że już w pierwszym. Pozostaje sentyment do kraju pochodzenia, ale znajomość języka szybko zanika. Z reguły ludzie ci nie wracają już nigdy do Polski. Wyjątki tylko potwierdzają tę regułę. Wracają jako turyści, co ma znaczenie ekonomiczne, ale demograficznego znaczenia nie ma żadnego. A więc z punktu widzenia sytuacji ludnościowej emigracja to czysta strata. Przy tym dodać należy, że wyjeżdżają jednostki najbardziej operatywne i to zwykle w przededniu wieku najwyższej rozrodczości. Będą służyć swoimi umiejętnościami i rodzić obywateli innym krajom. Polska poniosła koszt ich wykarmienia i wykształcenia, ale z tej inwestycji kto inny skorzysta. Ponieważ Polska jest krajem zadłużonym, nasi emigranci przenoszą się ze społeczeństwa dłużników do społeczeństwa wierzycieli. Polska, spłacając długi zagraniczne, zaciągnięte między innymi po to, by przyszłych emigrantów utrzymać i wykształcić, będzie

teraz dofinansowywać ich dobrobyt w kraju osiedlenia, a pożytku z nich nie będzie mieć żadnego.

Imigracja do Polski jest zjawiskiem na o wiele mniejszą skalę. Ostatnio imigrują najczęściej ludzie z innych cywilizacji – Wietnamczycy, Kurdowie, Romowie. Ludzie ci na ogół trudno się integrują, czyli Polakami się nie stają. Mamy też ostatnio sporo robotników sezonowych z Ukrainy i Białorusi. Jeżeli ci się osiedlą na stałe, to z integracją na ogół problemów nie będzie. Trudno jednak liczyć na to, że straty emigracyjne zrekompensuje imigracja. Należy się obawiać, że wraz z coraz szerszym otwieraniem się rynków pracy w Unii Europejskiej znowu doświadczymy masowej emigracji podobnej do tej, jaką przeżyły tereny dawnej Niemieckiej Republiki Demokratycznej po zjednoczeniu Niemiec.

Jak więc widzimy, perspektywy demograficzne wesołe nie są. Potrzebna jest polityka państwa, która temu zaradzi. Potrzebna jest polityka, która miałaby na względzie coś więcej niż tylko najbliższe wybory, która proponowałaby inwestycje w dalszą przyszłość, a nie tylko na najbliższe lata. Ba, dzisiaj mamy problem, żeby zagwarantować środki dalej niż na najbliższy rok budżetowy. Wiele inwestycji wymagających wieloletniego finansowania więcej kosztuje niż by musiało, bo zamiast systematycznego zasilania z budżetu, co rok ma inne wsparcie. Dotyczy to nie tylko wielkich inwestycji, jak budowa zbiorników wodnych czy autostrad, ale nawet tak, wydawałoby się, prostej sprawy, jak zalesienia, gdzie trzeba wiedzieć z co najmniej dwuletnim wyprzedzeniem, ile sadzonek przygotować. Gdy przygotowuje się za mało albo za dużo, będą straty. Następnie przez kilka lat trzeba drzewka pielęgnować, czyli do nich dopłacać, zanim pielęgnacja zacznie sama się zwracać poprzez sprzedaż tego, co się wytnie. Jeżeli to jest oczywiste w odniesieniu do drzew, to tym bardziej winno być oczywiste w odniesieniu do dzieci. Zanim zaczną zarabiać, to trzeba na nie łożyć. Dzieci to dobra inwestycja, zwróci się stokrotnie (zakładając, że nie wyemigrują), ale najpierw trzeba znaleźć na nią środki. Jest to sprawa społeczna, a nie tylko sprawa prywatna rodziny. Dopóki tego nie zrozumiemy, kryzys demograficzny będzie się pogłębiał.

Po ostatnim spisie ludności Komitet Prognoz „Polska 2000 Plus”, postulując przyjęcie przez państwo aktywnej polityki pronatalistycznej, sugeruje ostrożność we wprowadzaniu takich oszczędności budżetowych, które mogłyby jeszcze bardziej osłabić skłonność Polaków do posiadania dzieci (*Sprawy Nauki XII.03*). Wyraźnie kolejne rządy były na takie ostrzeżenia głuche.

### ***Rodzina szczęśliwa***

Wspieranie rodziny to nie tylko sprawa dietności, choć dzieci to bardzo ważna część składowa rodziny. Są rodziny, które z takiej czy innej przyczyny dzieci nie mają lub mają ich mało, a mimo to trzeba życie społeczne tak ustawić, by były one szczęśliwe, by czuły się przydatne i by rzeczywiście były przydatne.

Rodzina powstaje, gdy dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, wchodzi w związek małżeński, powstaje jako komórka społeczna, jako nowa jednostka gospodarcza, jako nowy element życia zbiorowego. Przynajmniej tak jest w naszej łacińskiej cywilizacji, mającej charakter personalistyczny. W niektórych cywilizacjach o charakterze gromadnym wzięcie żony nie oznacza powstania nowej wspólnoty, a jedynie wzbogacenie istniejącej o nowego członka. Liczy się ród, a nie rodzina. Ożenek nie wiele różni się od kupienia konia czy pola. Tam żona traktowana jest jako własność męża i to bez wzajemności. W naszej cywilizacji ślub to wzajemnie przyjęcie wobec siebie zobowiązań i równoczesne opuszczenie rodzin dotychczasowych przez obie strony. Nie zawsze to opuszczenie w sensie fizycznym następuje natychmiast, ale w sensie prawnym i społecznym od razu powstaje nowa jednostka rodzinna.

W tym momencie na ogół dzieci jeszcze nie ma, czyli zaledwie tych dwoje małżonków stanowi już pełnoprawną rodzinę. Wynikają z tego nowe prawa i obowiązki, zarówno wobec siebie wzajemnie, wobec powoływanych do życia dzieci, jak i w relacji do świata zewnętrznego, a więc wobec rodzin, z których małżonkowie wyszli, wobec sąsiadów, społeczności lokalnej i wreszcie wobec państwa. Państwo musi fakt powstania tej nowej jednostki społecznej odnotować, uwzględnić w takich sprawach, jak zmiana nazwiska, ewentualne nadanie obywatelstwa, gdy któryś z małżonków pochodzi z zagranicy, jak sposób rozliczenia podatkowego i wiele innych. Państwo może wymagać, by ślubu nie brali ludzie zbyt młodzi, pozostający już w innym związku małżeńskim albo zbyt blisko spokrewnieni itd., ale w zasadzie nie może zakazać ani nakazać wchodzenia w związek małżeński, czyli powoływania do istnienia nowych rodzin. Takie prawo mają tylko zainteresowani i państwo musi to zaakceptować, gdyż wynika ono z prawa naturalnego, a nie z nadanego przez państwo. Prawo państwowe musi więc być zgodne z prawem naturalnym i odzwierciedlać jego realia - inaczej będzie bezprawiem.

### ***Ochrona nienarodzonych***

Plagą naszych czasów, zakłócającą życie rodzinne, jest zabijanie dzieci nienarodzonych. Niechciane dzieci to konsekwencja z jednej strony rozwiązłości płciowej - co w jakimś zakresie było zawsze - a z drugiej chęć lub potrzeba uczestniczenia kobiety na rynku pracy, w czym dziecko przeszkadza.

Pojawienie się i rozpowszechnienie środków antykoncepcyjnych miało rzekomo zredukować zjawisko niechcianej ciąży. Zadziałało wręcz odwrotnie. Rozpowszechniło rozwiązłość płciową. Ta z kolei spowodowała zwiększenie przypadków nieplanowanej ciąży, gdyż żadna metoda antykoncepcji nie jest w 100 % pewna, a poza tym nie zawsze się ją stosuje. Aborcja stała się ostatecznym sposobem na niechciane dziecko. Jest to konsekwencja ogromu nacisku społecznego na dziewczynę w ciąży, by się jej pozbyła. Tymczasem zabójstwo na pewno jest większym przestępstwem niż cudzołóstwo, i to zarówno w sensie społecznym, jak i religijnym.

Przy aborcji matka jest nie tylko winowajcą, ale i ofiarą. Pozostali uczestnicy proceduru to tylko winowajcy. Oczywiście penalizacja winna obejmować w pierwszej kolejności tego, kto aborcji dokonał, wraz z towarzyszącym mu personelem. W naszych czasach zwykle jest to ginekolog, niegodny miana lekarza, oraz asystujące mu pielęgniarki i sekretarki prywatnych klinik ginekologicznych. Tu kara musi być bardzo surowa i obejmować nie tylko przypisane w kodeksie karnym więzienie, ale i utratę prawa do praktykowania zawodu lekarskiego czy pielęgniarstwa. Winna działać odstraszająco. W czasie odbywania kary rehabilitacja musi obejmować przystosowanie do innego zawodu, bo aborter po odbyciu kary nie powinien już mieć prawa powrotu do pracy w zawodzie lekarza. To samo winno dotyczyć asystujących w procedurze „pracowników służby zdrowia”. Pozostali uczestnicy proceduru – ci, co namawiali matkę do usunięcia ciąży, ci, co dali na to pieniądze i ci, co pomagali sprawę załatwić – też muszą być karani, co najmniej przez publiczne napiętnowanie i przez ujawnienie ich roli.

Jak wszyscy wiedzą, w Polsce kwitnie podziemie aborcyjne, czyli dokonywanie tej zbrodni w prywatnych gabinetach ginekologicznych. Tu karanie jest możliwe, a jedynie nie ma woli w ściganiu tego proceduru. W naszym systemie prawnym aborcja dopuszczalna jest tylko w sytuacji, gdy ciąża zagraża życiu lub zdrowiu matki, gdy pochodzi z przestępstwa i gdy płód jest obciążony chorobą. Na wszystkie te okoliczności musi być wiarygodna dokumentacja. W sumie więc „legalnych” aborcji jest niewiele, ponad setka rocznie, ale przecież i to jest za dużo. Każde ludzkie życie jest ważne i zasługuje na szacunek i ratowanie. Choroba dziecka to nie powód, by je zabijać, ale by je leczyć. Gdy dziecko zagraża życiu lub

zdrowiu matki, to ma ona prawo się leczyć, ale obowiązkiem lekarza jest próbować ratować zarówno matkę, jak i dziecko. Może się zdarzyć, że kuracja czy operacja matki zaszkodzi dziecku i nastąpi poronienie, ale nie może być ono zamierzone. Dzieci z gwałtu to bardzo rzadkie przypadki, jednak i tu urodzenie dziecka winno być normą. To okazja, żeby z traumatycznej sytuacji wyciągnąć jakieś dobro. Dziecko jest dobrem. Można je zatrzymać lub oddać do adopcji, podczas gdy zabicie go dodaje zło do zła. Do złego wspomnienia o gwałcie dodaje się drugie o aborcji.

Aborcja nigdy nie daje szczęścia, nigdy nie jest rozwiązaniem likwidującym problem. Wręcz przeciwnie. Pogłębia go. Pozostawia ślad na psychice na zawsze. Niechciane dziecko po jakimś czasie zwykle okazuje się być dzieckiem chcianym. Dokonana aborcja na zawsze pozostanie niechcianym wspomnieniem.

Likwidacja dopuszczalności aborcji w jakimkolwiek zakresie musi nastąpić jak najszybciej. Gdy zdobędziemy władzę lub wpływ na nią, to jak najszybciej zapewnimy ochronę każdemu życiu ludzkiemu. Od pierwszego dnia trzeba będzie jak najenergiczniej zacząć ścigać łamiących istniejące prawo (oferujących usługi aborcyjne), surowo te osoby karać i fakt ich karania maksymalnie nagłaśniać. Następnie, dysponując większością sejmową, jak najszybciej trzeba będzie wprowadzić ustawodawstwo, które zlikwidowałoby istniejące dziś jeszcze wyjątki dopuszczające przerywanie ciąży.

Oczywiście trzeba też będzie wprowadzić zakaz wszelkich zabaw z ludzkimi embrionami. Dzieci muszą poczynać się w sposób zgodny z naturą, jako konsekwencja zbliżenia płciowego małżonków, jako wyraz ich wzajemnej miłości i miłości do dziecka, które może w wyniku tego zbliżenia się począć. Oczywiście przeszkodą może być bezpłodność, którą trzeba leczyć, ale nie z naruszeniem prawa naturalnego. Powoływanie do życia dzieci w próbowce (*in vitro*) odbiera im naturalną miłość rodziców, z której winne się począć. Tą drogą żadna bezpłodność leczona nie jest, bo stan chorobowy pozostaje. Dzieci stają się owocem działań lekarza, a nie rodziców. Lekarz, by zapewnić skuteczność swoim zabiegom, powołuje do życia wiele embrionów, wybiera, które uważa za najlepsze, i te wprowadza do macicy. Pozostałe może jakiś czas są przechowywane w stanie zamrożenia, ale ich los jest z góry przesądzony - mają zginąć. Ponieważ przyczyną bezpłodności bywa niezdolność do wyprodukowania zdrowych gamet (komórek jajowych lub plemników), w metodologii tworzenia dzieci z próbowki korzysta się z anonimowych dawców. Wtedy matka nie wie, czyje dziecko nosi, czy mąż jest ojcem, czy sama jest jego matką.

Z technologii tej rozwinęły się badania nad powoływaniem do życia embrionów z komórek somatycznych, czyli nad tzw. klonowaniem. Pojawiły się badania nad komórkami macierzystymi z wykorzystaniem embrionów pozostałych po zapłodnieniu *in vitro* lub specjalnie w tym celu powoływanych do życia *in vitro*. Są już próby łączenia gamet ludzkich i zwierzęcych, by stworzyć hybrydy. Pomysłów przybywa, a wszystkie sprowadzają się do braku szacunku dla życia ludzkiego przed narodzeniem. Trzeba będzie tego wszystkiego surowo zakazać w polskim ustawodawstwie.

### ***Homoseksualizm***

Z prawa naturalnego, z samej biologii, wynika, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Wszelkie próby nadania związkowi homoseksualnym statusu małżeństwa czy statusu rodziny są sprzeczne z prawem naturalnym i oczywiście każde państwo wprowadzające takie regulacje, ingeruje w dziedzinę, która do jego kompetencji nie należy. Małżeństwo i rodzina to są rzeczywistości realne, których tak łatwo przeinterpretować się nie da. Państwo musi się do tego dostosować, a jeżeli będzie próbować zmienić sens tych rzeczywistości, to tylko się ośmieszy.

Związek homoseksualny nie jest małżeństwem ani rodziną nie tylko dlatego, że z natury swojej jest biologicznie bez sensu, nie ma zdolności rozrodczych, ale i dlatego, że nie jest w stanie zapewnić pozostałych elementów komplementarności w relacjach międzyludzkich, które daje związek mężczyzny i kobiety. Różnimy się. Chodzi tu nie tylko o różnice biologiczne, które są oczywistością, ale i o różnice psychiczne, uczuciowe, mentalnościowe i inne. W związku małżeńskim te różnice służą nie tylko przy wychowywaniu dzieci, dając wzorce do naśladowania, ale i w relacjach wzajemnych zapewniających uzupełnianie się.

Dzisiaj mówi się dużo o tolerancji wobec różnych orientacji seksualnych. Lobby homoseksualne jest politycznie silne i wymusza nie tylko tolerancję dla swego środowiska, ale i jego akceptację, jako coś normalnego. Otóż homoseksualizm z normalnością nie ma nic wspólnego. Jest to cecha nabyta w wyniku błędów wychowawczych.

Niektórzy próbują twierdzić, że to cecha, z którą się rodzą, czyli dziedziczna. Jako genetyk mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że w przyrodzie cechy determinujące bezpłodność są bardzo szybko eliminowane na drodze naturalnej selekcji. A przecież akty homoseksualne są ze swojej natury bezpłodne. By taka cecha była przekazywana dziedzicznie, musi dojść do normalnego heteroseksualnego współżycia. Oznacza to, że nawet gdyby homoseksualizm był dziedziczny, to musiałby się przenosić poprzez związki będące jego zaprzeczeniem. Wszelkie argumenty naukowe przemawiające za dziedzicznością homoseksualizmu nie wytrzymują krytyki i zostały zdecydowanie obalone przez ekspertów zajmujących się tą dziedziną. Jednym z dowodów na brak związku homoseksualizmu z dziedzicznością jest występowanie bliźniąt jednojajowych, a więc genetycznie identycznych, wśród których jedno jest homoseksualne, a drugie normalne. Znany jest przykład rodziny, w której po urodzeniu pierwszego syna matka bardzo chciała mieć córkę. Tymczasem urodzili się chłopcy, bliźniacy jednojajowi. Położna, chcąc pocieszyć matkę, powiedziała jej, że jeden z tych chłopców ma zupełnie dziewczęcą buzię. Matka „uczepiła się” tej myśli i potem wychowywała tego bliźniaka na dziewczynkę. Ubierała go w dziewczęce stroje itd. To on został homoseksualistą. Brat bliźniak pozostał normalny.

Wracam do tematu defektów w wychowaniu. Męski homoseksualizm zwykle pochodzi z matczynej nadopiekuńczości przy braku liczącego się ojca. Gdy w wychowaniu brak jest ojca jako wzorca, a może nim być nawet zmarły ojciec, pod warunkiem, że jest uznawany w rodzinie jako wzorzec, to dla chłopca wzorcem staje się matka. Może to doprowadzić do zaburzenia tożsamości i do homoseksualizmu. U kobiet przyczyna zwykle jest inna. Ma związek z jakąś krzywdą doznaną od mężczyzny w okresie dziecięcym lub dziewczęcym. Szczególnie wykorzystanie seksualne przez osobę bliską powoduje strach przed mężczyznami i skierowanie zainteresowań seksualnych ku kobietom. Oczywiście te nieprawidłowości w rozwoju psychofizycznym są konsekwencją jakiejś patologii w rodzinie, braku normalnych stosunków wewnątrzrodzinnych, braku normalnych wzorców macierzyństwa i ojcostwa.

W związku homoseksualnym, nawet gdy na drodze adopcji pojawiają się w nim dzieci, nigdy normalnych relacji nie będzie. Dzieci nigdy nie dostaną prawidłowych wzorców do naśladowania. Nie będzie tam prawdziwego szczęścia rodzinnego.

Przy okazji warto nadmienić, że homoseksualizm jest uleczalny. Nie jest to łatwe. Jak z każdym nałogiem, walka z tymi skłonnościami wymaga wytrwałości, pomocy lekarskiej i duchowej, a także, a może przede wszystkim, woli wyzwolenia się z tych skłonności. Istnieje specjalna organizacja skupiająca tych, którzy się wyzwolili, pod nazwą *Courage* (ma też polski odpowiednik pod nazwą *Odwaga*). Organizacja ta działa na trochę podobnych zasadach, jak stowarzyszenie anonimowych alkoholików.



Ustawodawstwo dotyczące tej tematyki musi być tak zredagowane, by nie nazywać normalnym tego, co normalnym nie jest, oraz by ułatwić osobom dotkniętym tym defektem wychowawczym jak najskuteczniejsze wyzwolenie się z nienaturalnych skłonności.

### ***Opieka nad niedołączonymi***

Powinno być rzeczą absolutnie normalną, że zarówno niepełnosprawni, jak i ludzie starsi winni mieszkać przy rodzinie. Ma to ogromne znaczenie zarówno dla wymagającego pomocy, jak i dla pomagających. Żadna opieka państwowa czy społeczna nie zastąpi ciepła rodzinnego. Niepełnosprawne dziecko w rodzinie to na pewno krzyż, ale i wielka łaska. Wyzwała instynkt opiekuńczy. Rodzina często właśnie to dziecko najbardziej miłuje, bo najwięcej musi mu poświęcać czasu, sił i troski. Rodzeństwo uczy się współzycia z niepełnosprawnym bratem czy siostrą, uczy się, że tacy ludzie są i zasługują na to, by się o nich troszczyć. Uczy się, że są ludzie, którym się wszystko należy, a od których niczego nie należy się spodziewać w zamian - uczy się bezinteresowności.

Oczywiście dziecko niepełnosprawne musi też mieć kontakt z ośrodkami rehabilitacyjnymi, z ludźmi o podobnym niedołączeniu. Okresowo powinno w takich ośrodkach przebywać, by nauczyć się żyć również poza rodziną. Przyjdzie czas, że rodziców zabraknie, że rodzeństwo będzie miało swoje rodziny i związane z nimi obowiązki. Może przyjąć czas, że trzeba będzie żyć wśród obcych i do tego trzeba takie dziecko przygotować. Również w miarę możliwości niepełnosprawnego trzeba też się starać nauczyć go jakiejś pracy, by chociaż częściowo mógł zarabiać na siebie. Do tego trzeba przygotowania w specjalistycznych zakładach, w szkołach życia. Niemych trzeba nauczyć mowy migowej, niewidomych – alfabetu Braille'a, sparaliżowanych – maksymalnej zdolności ruchowej itd. A więc nie wolno z nadmiaru miłości chronić niepełnosprawne dziecko przed kontaktem ze światem poza rodziną. Ważne jest jednak, by dziecko takie zawsze czuło, że ma rodzinę, może na niej polegać, że jest przez kogoś kochane, akceptowane i mile widziane.

Ludzie starsi, póki są pełnosprawni, zwykle chcą mieszkać w swoim własnym mieszkaniu, rządzić się samemu, na swoim. Ale przychodzi czas niedołączenia. Wtedy normalnością winno być zamieszkanie u dzieci, a nie w domach starców. Najpierw niezdolne do samodzielności dzieci są u rodziców, a potem niezdolni do samodzielności rodzice – u dzieci. Ta zmiana powinna być połączona ze zmianą mieszkania, tak by było jasne, kto jest u kogo, kto w danym gospodarstwie jest głową domu. Nawet niedołączeni dziadkowie są przydatni w rodzinie. Przez swoją obecność uczą szacunku dla starszych, pomagają swym doświadczeniem życiowym i zwykle, na ile siły pozwalają, pomagają w drobnych pracach domowych czy przy wychowywaniu dzieci.

Zapewne niejedna babcia czy dziadek skarżą się na pracę przy wnukach, na hałas w domu, na nadmierne ich eksploatowanie przez dzieci i wnuki, ale tak na prawdę tacy ludzie są o wiele bardziej szczęśliwi niż ci „odstawieni” do domów starców, czy nawet jeszcze żyjący samodzielnie, ale pozbawieni jakichkolwiek zadań. Zwykle wolą też umierać przy rodzinie. Umieranie na łonie rodziny ma w sobie pewien majestat. Jest łatwiejsze dla umierającego i uczy rodzinę, że nas wszystkich to czeka, że trzeba być na tę chwilę przygotowanym.

Organizacja życia zbiorowego, która umożliwiałaby współzycie kilku pokoleń w jednym mieszkaniu, przynosiłaby korzyść zarówno ludziom starszym, jak i dzieciom i wnukom, korzyść przede wszystkim wychowawczą. Pozwalałaby na osvajanie się z obecnością w rodzinie osoby słabszej, chorej, umierającej, którą trzeba wspomagać. Przy okazji państwo miałoby mniej kłopotów z domami starców. Opieka w rodzinie jest dużo tańsza. W rezultacie środki przeznaczane na państwowe „opiekuństwo” nad starszym pokoleniem mogłyby pójść na wspieranie rodzin wielopokoleniowych.

## Państwowa pomoc rodzinie

1. Obecny system podatkowy oparty jest na wycenie dochodów pracownika. Jedynym wyjątkiem jest tu możliwość wspólnego opodatkowania małżonków. Wynika z tego, że dieta, wielkość rodziny, dochód na członka rodziny, to elementy nie uwzględniane w systemie podatkowym. Tymczasem można by wprowadzić zasadę wspólnego opodatkowania wszystkich członków rodziny wspólnie zameldowanych. Wtedy do przychodu wliczałoby się emeryturę babci, dorywcze zarobki dzieci (np. za pracę wakacyjną czy ze stypendium studenckiego), alimenty itd. Od tej ogólnej sumy odejmowałoby się pewną ustaloną na dany rok sumę na każdego członka rodziny, a dopiero od reszty płaciłoby się podatek i obowiązkowe ubezpieczenie. Włączyć tu należy obowiązkowe ubezpieczenie, ponieważ jako obligatoryjne jest w rzeczywistości podatkiem. Czy podatek od tej nadwyżki jest obliczany liniowo czy progresywnie jest mało istotne, ważne by tylko ona była opodatkowana. W wielodzietnych rodzinach jej nie będzie lub będzie mała, a więc i podatek będzie mały, a w pozostałych podatek zabierze sporą część przychodu.

Zapewne bezdzietni podniosą krzyk, że to niesprawiedliwe, że wracamy do podatku kawalerskiego, tzw. „bykowego”, że będzie się pracować na cudze dzieci itd. Ale przecież jest wręcz odwrotnie. To ci, co wychowują liczną gromadkę dzieci, pracują na emerytury dla bezdzietnych czy mało dzietnych, bo to ich dzieci będą zasilać system ubezpieczeniowy w przyszłości. Ponadto im większa rodzina, tym więcej ma wydatków i z tej okazji płaci dużo większy VAT, a wszystko idzie z tego samego dochodu, głównie z pracy zarobkowej ojca rodziny. Prawie cały dochód idzie na utrzymanie, a więc jest z tego podatek VAT, podczas gdy bogatsi dużo wydają za granicą, lokują na giełdzie i z tego podatku VAT nie ma. W rezultacie wielodzietni w porównaniu z małodzietnymi o wiele większy procent swego przychodu łożą na państwo za pośrednictwem podatku VAT.

2. Większe rodziny zużywają więcej wody, gazu, prądu i z tego tytułu winny płacić niższe opłaty jednostkowe. Przecież w tych opłatach mieszczą się też pewne koszty stałe, jak np. koszt księgowania operacji, utrzymania instalacji i licznika, pensja inkasenta itd. Przy większym zużyciu, w przeliczeniu na mieszkanie, koszt ogólnie winny być mniejsze i to należałoby uwzględnić przy naliczaniu ceny jednostkowej. Czyli im większe wskazania licznika, tym niższa winna być cena jednostkowa. Już samo zaprowadzenie takiej regulacji dawałoby dobry sygnał, że wykazuje się troskę o liczniejsze rodziny – chodzi tu zarówno o służby państwowe i samorządowe, jak i o dostawców prywatnych.

3. Osobnym tematem jest sprawa zasiłków rodzinnych. W wielu krajach są różne dopłaty na dzieci, by ulżyć rodzinom wielodzietnym. Miewają one różną postać. Najlepiej jest, gdy są one wypłacane matkom bezpośrednio do rąk, np. poprzez pocztę. Ale bywa też forma bardziej szczegółowa - jakieś ułatwienia w dostępie do mieszkań komunalnych, ulgi przy zakupie biletów na przejazdy, dopłaty do obiadów w szkole itd. O szczegółach można dyskutować, ale chodzi o uznanie samej zasady, że ze środków publicznych trzeba wspierać rodziny wielodzietne. Podkreślam, chodzi mi tutaj o rodziny wielodzietne, a nie o rodziny biedne czy patologiczne. Rodziny patologiczne to zupełnie inny temat. Pomoc samotnym matkom, dzieciom zaniedbanym, bezdomnym, fundusz alimentacyjny itd. – to są wszystkie sprawy, o których stale się mówi, i jest świadomość społeczna, że trzeba się tymi sprawami zajmować. Tutaj upominam się o normalne rodziny wielodzietne, które zasługują na pomoc społeczną z samego tytułu swojej wielodzietności – a cały czas chodzi mi o to, by jak najwięcej matek zdecydowało się pozostać w domu i rodzic więcej dzieci.

4. W trosce o substancję biologiczną Narodu polskiego przeciwdziałać musimy emigracji, a w szczególności drenażowi mózgow. Jest paradoksem XX wieku, że kraje ubogie ponoszą koszt kształcenia swojej najzdolniejszej młodzieży, a równocześnie tracą ją na rzecz krajów bogatych, które zwabiają ją lepiej płatnymi posadami. By uchronić się przed tym, z

jednej strony zadbać musimy o korzystniejsze warunki ekonomiczne dla naszych absolwentów w Polsce, a z drugiej – zadbać o bardziej patriotyczne wychowanie, by opuszczanie biednej Ojczyzny znalazło się w społecznej pogardzie. Można by też żądać od wyjeżdżających na stałe, by zapłacili za studia opłacone przez państwo.

5. Przy okazji trzeba przypomnieć, że państwo winno więcej troski okazywać rodzinom normalnym niż patologicznym. Im więcej państwowego zaangażowania w walkę z patologiami, tym więcej ich będzie. Jest to znana prawidłowość, że tam, gdzie idzie pomoc ze środków publicznych, powiększają się potrzeby. Są zainteresowani, by środki publiczne wykorzystać z nadmiarem i wołać o ich stałe powiększanie. Tymczasem życie w sytuacjach patologicznych trzeba utrudniać, a nie ułatwiać. Każdy musi wiedzieć, że wyjście z sytuacji patologicznej się opłaca. Gdy rodzina polska będzie zdrowa, to zmniejszą się potrzeby w zakresie domów dziecka, poprawczaków, izb wytrzeźwień, więzień, odwykówek, noclegowni, monarów, zakładów psychiatrycznych itd. Mniej będzie rozwodów, narkomanii, alkoholizmu, przestępstw, bezdomnych, samotnych. Troska o pełną, normalną rodzinę to naprawdę dobra inwestycja.

6. W polityce mieszkaniowej promować należy rozwiązania pozwalające na współżycie trzech pokoleń. Rodziny w różnym okresie swego istnienia mają różne rozmiary. Polityka mieszkaniowa winna to uwzględniać. Młode małżeństwo powinno zaczynać swoje życie rodzinne w osobnym, własnym mieszkaniu, w którym mogłoby się urodzić pierwsze czy drugie dziecko, ale które nie będzie wystarczające na zaspokojenie potrzeb większej rodziny. Zwykle rodzinę na dorobku nie stać na większe mieszkanie, a zaczynanie samemu jest tak ważne, że lepiej mieszkać gdzieś w kawalerce niż z większym luksusem przy rodzinie męża lub żony. Z czasem jednak z jednej strony dzieci przybywa, z drugiej – rośnie potrzeba obecności w domu babci do pomocy, przynajmniej czasowo. W następnym etapie dzieci zaczynają z domu wychodzić, a ponadto i dziadkowie w którymś momencie zaczynają potrzebować pomocy. Tak więc zmieniająca się sytuacja rodziny pociąga za sobą zmiany wielkości mieszkania. Fakt ten wymaga odpowiedniego dostosowywania wielkości mieszkania do wielkości rodziny. Bez tego zawsze będą albo pustostany, albo ciasnota. Te oczywiste sprawy winny znaleźć odzwierciedlenie w pomysłach architektonicznych, tak aby przy niewielkich przeróbkach była możliwość powiększania i pomniejszania mieszkań w zależności od potrzeb.

Oczywiście najlepiej, żeby mieszkanie było własnością rodziny, bo wtedy się o nie dba, wolniej ulega dekapitalizacji. Musi być do tego odpowiednia polityka kredytowa, żeby rodziny mogły w miarę swoich potrzeb mieszkania powiększać lub zmniejszać. Taki kredyt powinien być tani, bo jest dla niego zabezpieczenie właśnie w postaci mieszkania. Jeżeli mieszkanie jest wynajęte, to rodzinę musi być na to stać, a właściciel musi chcieć je wynająć. Czyli układ cen i zarobków musi być taki, by było to możliwe. Ciągle przypominam, że mówię tu o rodzinie normalnej, zdrowej, a nie o patologicznej. Oczywiście rodzina patologiczna będzie miała zarówno trudności z wynajęciem mieszkania, bo właściciel nie będzie chciał jej go udostępnić, jak i z zapłaceniem za nie. Ale to jest zupełnie inny problem. Polityka mieszkaniowa państwa musi być ustawiona pod kątem widzenia rodziny normalnej, niezależnie od jej wielkości.

7. Dążyć należy do tego, by każda rodzina posiadała kawałek ziemi do uprawiania wokół własnego domu lub w postaci ogródka działkowego. Praca w ogrodzie to nie tylko wypoczynek, ale także pożytek, bo uzyskuje się jarzyny i owoce własnej produkcji, zdrowe, bez zbędnej chemii i zawsze świeże. Nadmiar można zamrozić lub zaprawić. W ogrodzie dzieci mogą się bezpiecznie i zdrowo bawić. Ponadto ogród to okazja, by przyuczać dzieci do pracy, w której widać związek wysiłku z plonem. Ten efekt wychowawczy jest najważniejszy. Zapewne plony te można szybciej, łatwiej, a może i taniej, kupić w sklepie, ale

przyuczenie do pracy na łonie przyrody uczy i wychowuje. Pokazuje, jak w zdrowy sposób można zagospodarować wolny czas.

8. Są u nas nie załatwione sprawy reprivatyzacyjne. Tu wcale nie chodzi o przekreślenie reformy rolnej czy o odbieranie ziemi tym, którzy ją uprawiają. Ale reforma rolna wyrugowała z prowincji ogniska lokalnej kultury. Szczególnie rodzinom ziemiańskim należy umożliwić powrót do swych siedzib rodzinnych, chociażby w szczątkowej formie. Trzeba im oddać domostwa, dworki, pałace i to łącznie z jakąś resztówką, parkiem, ogrodem. Obecność rodzimej inteligencji na prowincji powoduje promieniowanie kulturowe i aktywizuje region. Tam, gdzie taki powrót się dokonał, są z niego same korzyści. Poczucie więzi z siedzibą rodzinną jest u Polaków bardzo mocne, zarówno u chłopów, jak i u ziemian. To cecha bardzo cenna i zasługująca na utrwalanie. Proces powrotu ziemian do swoich rodzinnych siedzib należy więc wspierać.

## Zdrowie

Temat opieki zdrowotnej długo jeszcze będzie stanowił piętę achillesową naszej gospodarki. Nie próbuję sugerować, że mam na problemy polskiej służby zdrowia gotowe rozwiązanie, ale jest kilka spraw o charakterze zasadniczym, które powinny leżeć u podstaw wszelkich prób uzdrawiania sytuacji na tym polu.

Po pierwsze: przyjąć trzeba zasadę, że nikt potrzebujący nie może pozostać bez pomocy, bez podstawowych świadczeń leczniczych. Nie oznacza to jednak, że wszelkie najnowsze terapie mają być dostępne dla wszystkich. Jak świat światem, postęp w medycynie finansowali ludzie bogaci. Gdy pojawia się nowy lek czy nowa technika terapeutyczna, na początku tylko najbogatsi mogą sobie na nie pozwolić. Nie można więc mieć pretensji o to, że nie są one dostępne dla wszystkich. Gdy ich skuteczność się potwierdzi, gdy staną się bardziej powszechne, wtedy dotrą do wszystkich, ale w okresie wstępnym zawsze będą dostępne tylko dla bogatych. Tu jednak potrzebne jest pewne ważne zastrzeżenie. Jeżeli dana terapia jest w kategorii usługi odpłatnej, to musi być odpłatną dla wszystkich. Nie ma bowiem nic bardziej niesprawiedliwego, jak sytuacja, gdy dana usługa jest dostępna za darmo, ale tylko dla nielicznych wybranych. Gdy biednemu mówi się, że ma zapłacić, a od bogatego tego się nie wymaga, to oznacza, że system jest chory. Niestety u nas tak bywa, co wynika z praktyk kumoterskich.

Z reguły zasada odpłatności jakoś funkcjonuje, jeżeli chodzi o zabiegi kosmetyczne, bardziej skomplikowane operacje, przeszczepy czy diagnostykę przy pomocy kosztownej aparatury. Gorzej jest z lekami. W cenie leku przez pewien czas głównym kosztem jest patent. Firmy farmaceutyczne prześcigają się w szukaniu nowych, lepszych specyfików i duży wysiłek wkładają w ich reklamę. By zarobić, naciskają w sposób legalny i nielegalny (łapówki, nagrody dla lekarzy), aby były zapisywane pacjentom, a przede wszystkim, by znalazły się na liście leków refundowanych. Bywa, że importer podaje wysoką cenę sprowadzanego leku, a po sprzedaży w odpowiednio wysokim zakresie dostaje rabat od producenta w wysokości niekiedy 60% pierwotnie podanej ceny, zaś pacjent dostaje refundację na poziomie kosztu zgłoszonego pierwotnie, czyli importer robi kokosy na naszej ubezpieczalni. Otóż proponowałbym wprowadzenie zasady, że z kasy Narodowego Funduszu Zdrowia refunduje się tylko leki generyczne, to znaczy te, które już nie są obciążone kosztem patentu, oraz cenę najbliższego leku generycznego w cenie leku zapisanego. Czyli jeżeli pacjenta nie stać na dopłatę, to dostaje tylko lek generyczny, a jeżeli go stać, to płaci za bardziej nowoczesny specyfik z własnej kieszeni, a refundację dostaje tylko na poziomie leku generycznego. W ten sposób bogaci czy też bogatsi pacjenci opłacać będą postęp w farmaceutyce, a biedniejsi pacjenci będą leczeni na poziomie wiedzy medycznej sprzed kilku lat. Natychmiast spowoduje to, że w systemie opieki zdrowotnej znajdą się duże pieniądze, przestanie się opłacać korumpowanie lekarzy, by wypisywali najdroższe leki, skończy się chocholi taniec wokół listy leków refundowanych, producenci leków generycznych znajdą większy zbył dla swojej produkcji, a import leków zmaleje.

W Polsce służba zdrowia jest bardzo słabo opłacana. Nikt o tym głośno nie mówi, ale zakłada się, że lekarze i pielęgniarki „dorabiają” napiwkami (kopertami). Skutek jest taki, że mimo istnienia powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego, którym

objęci są pacjenci, do usług medycznych się dopłaca, ale nieoficjalnie, a ci, którzy odmawiają korzystania z takich napiwków, skazują się na ubóstwo. Często kończy się to emigracją lekarzy i pielęgniarek do krajów, gdzie lepiej płacą, a dopłacanie „pod stołem” nie jest praktykowane. Z tą sytuacją trzeba koniecznie skończyć. Z jednej strony muszą wzrosnąć pensje, a z drugiej musi być surowo ścigany, prawnie i na drodze etyki zawodowej, proceder korumpowania pracowników służby zdrowia. Płacić dodatkowo – owszem, ale za leki i zabiegi pionierskie, jeszcze nie należące do podstawowej opieki zdrowotnej.

Można by również rozważać odpłatność za takie świadczenia, jak wyżywienie w szpitalu, bo przecież w tym czasie nie ponosi się tych kosztów w domu. To samo dotyczy wywozu nieczystości, zużywania energii, wody itd. Jednostkowo wydatek byłby niewielki i nienaruszający budżetu rodziny, a dla szpitala – znaczący.

W naszej filozofii społecznej są pewne rozwiązania, które same ze swojej natury redukcją koszt opieki zdrowotnej. W rozdziale o programie prorodzinny piszę o tym szerzej. Tu tylko pragnę nadmienić, że jeżeli w domu stale ktoś jest, najlepiej matka, to rzadziej potrzebna jest pomoc lekarska. Matka szybko nauczy się, która dolegliwość dziecka, męża czy osoby starszej wymaga interwencji lekarskiej, a którą da się wyleczyć sposobem domowym. Zawsze jest w domu jakaś apteczka z zespołem najpowszechniejszych leków, które wystarczą, by uporać się z pospolitym przeziębieniem czy niestrawnością. Do takich domów rzadziej wzywany jest lekarz. Często wyjście z dzieckiem do lekarza potrzebne jest tylko po to, by dostać zwolnienie lekarskie dla matki. Zwolnienia lekarskie obciążają system opieki zdrowotnej. Gdy matka będzie w domu, tych kosztów nie będzie. To samo dotyczy opieki nad starszymi. Opieka nad pacjentem w zakładzie opieki zdrowotnej więcej kosztuje niż nad pacjentem w domu – ale w domu musi ktoś być. Czyli przy reformie systemu zabezpieczeń społecznych na prorodzinny, umożliwiający pozostawanie matki w domu, jeśli tylko tego zechce, uzyska się również obniżkę kosztów służby zdrowia.

Jest jeszcze jeden temat, którego uwzględnienie ograniczy koszt publicznego systemu służby zdrowia. Jest totalnym nieporozumieniem finansowanie z Narodowego Funduszu Zdrowia wszelkich środków antykoncepcyjnych. One niczego nie leczą, a jeżeli mają coś wspólnego ze zdrowiem, to właśnie to, że stanowią ryzyko zdrowotne. Po pierwsze: redukcją poczęcia, a przecież dzieci rodzi się za mało (patrz: rozdział o programie prorodzinny), więc już choćby z tego powodu nie powinny być dostępne. Po drugie: stwarzają przekonanie o „bezpiecznym seksie”, czyli z jednej strony wolnym od ryzyka zajścia w ciążę, a z drugiej rzekomo zabezpieczającym przed chorobami przenoszonymi drogą płciową. Jedno i drugie jest nieprawdziwe, bo żadna metoda nie jest w 100% zabezpieczająca przed ciążą, a tylko niektóre, i to w minimalnym stopniu, redukcją ryzyko zakażenia. Natomiast przekonanie o tym rzekomym bezpieczeństwie powoduje zwiększoną rozwiązłość płciową, a co za tym idzie – niechciane ciążę i plagę chorób wenerycznych. Po trzecie: wiele reklamowanych środków rzekomo antykoncepcyjnych nie zapobiega poczęciu, ale zabija poczęte już dzieci. Wkładki domaciczne przeciwdziałają implantacji zarodka w macicy, czyli go zabijają, a różne pigułki reklamowane jako antykoncepcyjne to w rzeczywistości środki poronne, które prowokują poronienia na wczesnym etapie rozwoju zarodka. Tak więc służba zdrowia nie powinna się w ogóle zajmować tematem antykoncepcji, gdyż ze zdrowiem nie ma on nic wspólnego.

Podobnie nie powinno być żadnego finansowania jakichkolwiek praktyk sztucznego zapładniania. Chodzi tu zarówno o sztuczną inseminację, jak i o metody *in vitro* (dzieci z próbówek). Praktyki te nie mają nic wspólnego z leczeniem bezpłodności, bo po ich zastosowaniu bezpłodność pozostaje. Są to tylko działania prowadzące do poczęcia z pominięciem drogi naturalnej. Dziecko winno być owocem ofiarnej miłości rodziców, których trwała więź ma zapewnić prawidłowe warunki dla rozwoju najpierw poczętego, a potem narodzonego dziecka. Dziecko nie może być zachcianką rodziców, osiągniętą na zamówienie, jak kotek czy papużka. Jeżeli są problemy z bezpłodnością, to oczywiście trzeba ją leczyć, ale tak by, przywrócić prawidłowe funkcjonowanie organizmu żony i męża. Gdy przywrócenie zdrowia nie jest możliwe, pozostaje adopcja. Wtedy przychodzi się z pomocą biednemu dziecku pozbawionemu normalnego domu. Powoływanie do życia dziecka w sposób nienaturalny to działanie nie w interesie tego dziecka, ale w interesie bezpłodnych małżonków. Odbywa się to kosztem dziecka, które jeżeli okaże się niepełnosprawne, będzie źródłem pretensji do zespołu lekarskiego, który przy jego powstawaniu uczestniczył. Miłość rodzicielską zastępuje miłość własna sfrustrowanych rodziców. Publiczna służba zdrowia nie powinna mieć z tymi praktykami nic do czynienia.

Oczywiście nie może też być mowy o finansowaniu ze środków publicznych przerywania ciąży w jakiegokolwiek sytuacji. W ogóle wszelka aborcja winna być zakazana i zdecydowanie ścigana. Gdy mniej będzie aborcji, to i poprawi się zdrowie społeczne. Wszyscy lekarze wiedzą, jak szkodliwa dla zdrowia kobiety jest taka praktyka. Nie tylko zdarzają się uszkodzenia macicy w ramach samego proceduru, ale potem przychodzą różne schorzenia dodatkowe, rak piersi, rak macicy, bezpłodność, no i bardzo wiele problemów psychiatrycznych (nerwice, depresje, stany lękowe, alkoholizm, bezsenność itd.). Świadomość, że zabiło się własne dziecko, pozostaje na zawsze. W USA są specjalne ubezpieczalnie dla osób odrzucających aborcję z zasady – tam niższa jest składka, bo osoby te mniej chorują. Warto o tym pamiętać przy wszelkich próbach uzdrawiania naszej służby zdrowia.

## Renty i emerytury

### ***Źródło problemu***

Polski system rentowy i emerytalny jest chory. Gdy rozpoczynał się proces transformacji ustrojowej, tłumaczono nam, że państwo jest biedne, bo stale dopłaca do nierentownych firm, utrzymując w nich nadmierne zatrudnienie. Prywatyzacja miała zlikwidować tę anomalię, gdyż przedsiębiorstwa prywatne są wydajniejsze i w związku z tym usuną zbędne zatrudnienie, doprowadzając firmy do stanu rentowności. Miało to spowodować obniżenie wydatków państwa, czyli odciążenie budżetu. Według tego rozumowania miało się opłacać sprzedać nierentowne firmy za przysłowiową złotówkę, byle tylko pozbyć się obowiązku podtrzymywania ich przy życiu i dokładania do nich.

Rzeczywistość okazała się okrutna.

Oczywiście państwo przestało dopłacać do sprywatyzowanych firm, ale stało się to, przed czym nasze środowiska ostrzegały. To, co było państwowe polskie, stało się prywatnym niepolskim. Ponoć kapitał jest bezpaństwowy i nie ma narodowości, ale jakoś wszystkie kraje dbają o interesy własnych firm. Tymczasem międzynarodowi doradcy naszych kolejnych premierów, a w szczególności „nadpremiera” Balcerowicza, troszczyli się o interesy międzynarodowego kapitału, a nie o interesy Polski. Rezultat jest taki, że:

- niewielkie wpływy z prywatyzacji zostały skonsumowane na potrzeby bieżące kolejnych rządów,
- rzeczywiście skończyły się dopłaty do nierentownych firm,
- skończyły też się zyski z firm rentownych,
- nowi właściciele firm ograniczyli ich działalność do stanu szczątkowego lub tylko do przepakowywania importu, a niejednokrotnie zlikwidowali je zupełnie,
- został przejęty rynek zbytu dotychczasowych firm, na który rzucono towary produkowane przez nabywcę poza granicami Polski,
- miejsca pracy przeniosły się za granicę,
- drastycznie wzrosło w Polsce bezrobocie,
- państwo polskie zamiast zarabiać na produkcji krajowej lub nawet dopłacać do produkcji nierentownej, musi dziś utrzymywać armię bezrobotnych, w tym rzeszę byłych pracowników przeniesionych na wcześniejszą emeryturę, którzy nie produkują nic.

W takiej sytuacji system rentowo-emerytalny musiał popaść w stan kryzysowy.

Na dobrą sprawę w kryzysie jest system emerytalny całego świata zachodniego, a to z powodów demograficznych. Liczba ludności w wieku produkcyjnym maleje, zaś liczba osób w wieku emerytalnym rośnie. Ma to związek zarówno z malejącym przyrostem naturalnym, jak i z postępem w medycynie, dzięki któremu ludzie dłużej żyją (dłużej żyją na emeryturze). Polska ma te same problemy, ale dodatkowo spotęgowane wysokim bezrobociem ludności w wieku produkcyjnym. Jeżeli w Polsce w roku 1988 pracowało 17 ml ludzi, a dziś pracuje 12 ml, to trudno się dziwić, że składki na ZUS nie wystarczają, by opłacić renty i emerytury.



## **Recepty**

Problem ten, w zasadzie wspólny dla całego starzejącego się świata zachodniego, wymaga pilnego rozwiązania. Skończyły się nadzieje, że emerytura to czas niekończących się wakacji. Okazuje się, że jest to czas pogłębiającej się biedy, samotności i niedostatecznego leczenia. Jak podchodzą do tego problemu inni?

Najczęściej oddaje się problem prywatnym firmom ubezpieczeniowym. To one namawiają do odkładania pieniędzy u nich, obiecują góry lodowe, a potem, gdy system okazuje się niewydolny, bankrutują i problem wraca do załatwienia przez państwo. Coraz to słyszymy, że jakieś grupy kapitałowe, znajdując się w kłopotach finansowych, dają pod zastaw pożyczek środki zbierane jako ubezpieczenie swoich pracowników, a potem, gdy nie są w stanie pożyczek spłacić, te ubezpieczenia przepadają. Są to praktyki nielegalne, ale skoro powtarzają się, to znaczy, że praktyka ta bywa stosowana, a ubezpieczony nigdy nie może być pewny, czy jego oszczędności z czyjejs (nie jego) winy nie przepadną. Ubezpieczenie prywatne ma to do siebie, że zwraca tylko to, co ubezpieczający w czasie płacenia składek zbierał. Analiza stopnia wykorzystania emerytur, przewidywany koszt leczenia w ostatnim okresie życia, przewidywany wiek umierania ubezpieczonych w zależności od płci, nałogów, zawodu itd., powodują, że pojawiają się różnice w wysokości wypłat. Na przykład kobietom z tej samej zbieranej sumy płaci się mniej, bo dłużej żyją po przejściu na emeryturę. Ponadto na ogół mniej zbierają, bo krócej pracują, mają przerwy na rodzenie i wychowywanie dzieci, a także wcześniej przechodzą na emeryturę. Z tego powodu pojawiają się propozycje, by zrównać wiek emerytalny mężczyzn i kobiet, by pobierać wyższą składkę od kobiet i tym podobne. Każdy pomysł jest dla kogoś krzywdzącym.

Najdrastyczniejszym pomysłem jest eutanazja, na którą godzi się coraz większa liczba państw. Mówi się, że chodzi o nie przedłużanie zbędnej opieki (podawanie pokarmów i płynów) nad pacjentami w nieodwracalnie wegetatywnym stanie, o ulżenie w cierpieniu, o pójściu na rękę rodzinie, której budżet nie pozwala na dalsze finansowanie śmiertelnie chorych itd. Ale tak naprawdę chodzi o kłopoty finansowe systemów emerytalno-rentowych. Nachalność propagandy na rzecz eutanazji, to ciągle powoływanie komisji bioetycznych, by przeinterpretować dotychczasowe rozumienie zasad etycznych, to ciągle powoływanie się na najnowocześniejsze badania naukowe, w tym na badania opinii publicznej, która ponoć coraz bardziej akceptuje eutanazję, świadczą o zaangażowaniu w tę kampanię ogromnych pieniędzy. Widocznie propaganda się opłaca. Już sama sugestia, że opinia publiczna cokolwiek wnosi do tematu, świadczy, jak bardzo świat odszedł od liczenia się z prawem Bożym czy chociażby z prawem naturalnym, od odwiecznej zasady *primum non nocere* (przede wszystkim nie szkodzić) i od przysięgi Hipokratesa, którą składa każdy lekarz.

Najczęściej jednak, a dotyczy to też rządzących w Polsce, praktykowanym rozwiązaniem problemu niewydolności systemu ubezpieczeń jest pozwolenie na obniżkę rent i emerytur poprzez obniżenie ich realnej wartości, czyli przez brak waloryzacji inflacyjnej.

U nas, w Polsce, przy okazji poszukiwania sposobu wyjścia z kłopotów finansowych państwa poprzez obniżkę świadczeń emerytalnych i rentowych, okazało się, że przywileje emerytalne dla służb mundurowych, prokuratury i sądownictwa minionego okresu nie ulegają takiej dewaluacji, jak emerytura szarego obywatela. A

więc są równi i równiejsi. Stara nomenklatura trzyma się dobrze, a gruba kreska nie tylko powoduje, że nie rozlicza się tego środowiska, ale nadal utrzymuje jego przywileje!

### ***Jak wyjść z kryzysu***

Potrzebna jest więc gruntowna reforma systemu emerytalnego, która uwzględniałaby realia naszej sytuacji społeczno-gospodarczej. Jest to zadanie dla specjalistów. Tutaj pragnę tylko zasygnalizować pewne zasady, którymi winniśmy się kierować.

System emerytalno-rentowy musi być samowystarczalny, czyli składka emerytalna musi odpowiadać realnym kosztom systemu. System musi też być powszechny, a więc obejmować nie tylko płacących doń po roku 1990, ale i tych, co pracowali w PRL, kiedy to państwo żadnych pieniędzy ze składek nie odkładało, tylko je na bieżąco konsumowało. Wtedy system był samowystarczalny, bo wypłacano z niego na bieżąco, a zabezpieczeniem dla niego był majątek państwowy. Teraz, gdy ten majątek nie jest już państwowym, a środki z jego sprzedaży zostały skonsumowane lub rozkradzione, wszyscy musimy na ten system łożyć, chociażby za karę, że taką a nie inną władzę sobie wybraliśmy.

Pieniądze z prywatyzacji majątku państwowego to własność tych, którzy wypracowali ten majątek, a więc dzisiejszych emerytów i rencistów. Pieniądze te w całości powinny być kierowane do państwowego systemu rentowo-ubezpieczeniowego, a nie konsumowane na jakiegokolwiek inne bieżące potrzeby tego czy innego rządu.

Propozycja liczenia podatku nie od pracownika, ale od rodziny, z uwzględnieniem jej wielkości i łącznych dochodów wszystkich jej członków, włączałaby do rachunku emerytury i renty niepracujących już zarobkowo członków rodziny. Skłaniałoby to emerytów i rencistów do mieszkania przy rodzinie, co na skalę ogólnokrajową byłoby tańsze, zaś ludzie ci, służąc w domu chociażby tylko swoją obecnością, czuliby się bardziej przydatni, mieliby zadania inne niż tylko czekanie na śmierć, a otrzymywane świadczenia finansowe miałyby dla nich większą wartość niż gdyby żyli sami, gdyż ponosiliby mniejsze koszty własnego utrzymania. Oczywiście mówię o sytuacji, gdy finanse rodziny są kształtowane w sposób zdrowy. W sytuacjach, niestety dzisiaj dosyć częstych, gdzie emerytura babci, wypracowana w PRL, to jedyny stały dochód w rodzinie, każda emerytura będzie za mała.

Oczywiście podstawowym elementem uzdrowienia finansów państwa, w tym systemie ubezpieczeń, jest zredukowanie bezrobocia. Im więcej ludzi będzie pracować zarobkowo, i to nie w szarej strefie, ale legalnie, tym więcej pieniędzy będzie odprowadzanych do systemu emerytalno-rentowego. Musimy mniej importować, a więcej produkować na potrzeby konsumpcji krajowej. Najtężsi ekonomiści głowią się, jak to zrealizować. Nie miejsce tu, by sugerować konkretne rozwiązania, ale bez państwowej troski o własny rynek pracy, o rodzimą produkcję i rodzimą konsumpcję, tego się nie osiągnie. Liberalowie wpatrzeni w zbawienne skutki wolnego rynku może teoretycznie mają rację, ale ponieważ wokół nas nikt wolnego rynku nie uznaje, tylko każdy dba o swoje interesy, to podobnie winniśmy robić i my.

Potrzebna jest więc polityka gospodarcza chroniąca i rozbudowująca własny rynek pracy, by umożliwić szybki wzrost zatrudnienia, co natychmiast przełoży się na

zwiększenie dochodu Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Potrzebna też jest polityka odzyskiwania majątku sprywatyzowanego z naruszeniem prawa i powiększania własności w polskich rękach, co przyspieszy rozwój gospodarczy i powiększy dochody podatkowe państwa.

Najniższe świadczenia emerytalne i rentowe winne być obliczane powyżej minimum socjalnego. Obecnie ponad 50% emerytur jest niższych od minimum socjalnego.

Waloryzacja rent i emerytur winna postępować równolegle do waloryzacji płac, gdyż oczywiste jest, że przyzwalanie na deprecjację emerytur przez inflację to forma okradania byłych pracowników.

System Otwartych Funduszy Emerytalnych zasługuje na likwidację. Jego koszty własne wynoszą około 17%, podczas gdy koszty własne ZUS, z wypłatą emerytur włącznie, wnoszą 3,3% otrzymanych środków. Otwarte Fundusze Emerytalne stały się miejscem lukratywnych posad dla osób z kręgów piastujących władzę (w ostatnim piętnastoleciu – postkomuniści i liberałowie), czyli sposobem na okradanie ubezpieczających się. Fundusze te gromadzą gigantyczne pieniądze (ok. 12-15 md zł rocznie), ale nie inwestują ich w polską gospodarkę. Lepiej więc niech obywatele zatrzymują te pieniądze we własnych kieszeniach i lokują je jako oszczędności np. w papierach wartościowych.

Oczywiście musi też ulec weryfikacji system emerytalny dla grup uprzywilejowanych. Nie wszystko, co w PRL oceniane było jako zasługa, musi być nagradzane dzisiaj. Wystarczy wspomnieć taką anomalię, jak to, że osoby ścigane przez naszą prokuraturę za działalność w okresie stalinowskim, o których ekstradycję do Polski wystąpił rząd, bo przebywają za granicą, nadal otrzymują wysokie, mundurowe emerytury z kasy polskiego systemu emerytalnego.

## Nauka i edukacja

### Cele

Dla państwa celem programu oświatowego powinno być wspomaganie rodziców w ich zadaniu wychowania i wykształcenia dzieci. Należy podkreślić, że mówimy o zadaniach rodziców i o roli pomocniczej państwa. Czyli to nie państwo uczy, wychowuje i pozwala rodzicom w tym uczestniczyć, ale odwrotnie, rodzice uczą i wychowują, a państwo, z upoważnienia rodziców, pomaga poprzez częściowe pokrywanie kosztów edukacji. Poglądy rodziców są różne, a więc i kierunek wychowania i nauczania winien być zróżnicowany. Odpowiedzialność w tej mierze, cała odpowiedzialność, spada na rodziców. Ma to oczywiście odbicie w obowiązującym prawie. Jeżeli osoba nieletnia spowoduje czyjąś krzywdę, to odpowiadają materialnie rodzice, a nie szkoła. Dotyczy to nie tylko odpowiedzialności cywilnej, ale i moralnej. To rodzice idą przeproszać sąsiadów za wybryki swoich pociech. To rodzice płacą alimenty, jeżeli nieletni syn spółdzi dziecko. To rodzice muszą zadbać, by dziecko pobierało naukę. Tymczasem atmosfera szkoły i uzurpowanie przez nią zadań rodzicielskich często jest przyczyną, wymykania się dzieci spod kontroli rodziców.

Rodzice w obawie przed demoralizującym wpływem szkoły (narkotyki, seks, bijatyki, kupowanie ocen, tolerancja ściągania) jak tylko mogą uciekają do lepszych szkół, a coraz częściej organizują sobie nauczanie domowe (głównie w USA, ale i coraz częściej w Europie, również w Polsce). Zwykle jest tak, że za lepszą szkołę więcej się płaci. Ale nie każdego na to stać, a tych, których stać, stać również na kupowanie ocen. Niekoniecznie odbywa się to poprzez ordynarne dawanie łapówek nauczycielom. Szkoły te żyją z uczenia dzieci osób bogatych. Zależy im na uczniach i boją się, że rodzice przeniosą dzieci do innych szkół, jeżeli nie dostaną one odpowiednio dobrych ocen. W rezultacie dobre szkoły to niekoniecznie te, za które się więcej płaci. Ponadto wielokrotnie dopłaca się nauczycielom poprzez korepetycje. Trudniej im potem swoim podopiecznym stawiać złe oceny.

Żeby tę sytuację uzdrowić trzeba po pierwsze: zakazać pobierania korepetycji u własnych nauczycieli, a po drugie: wprowadzić egzaminowanie przez egzaminatorów spoza szkoły. Już się to pojawiło w egzaminach kończących szkołę podstawową oraz gimnazjum (testy sprawdzane są komputerowo), i tak również jest przeprowadzana matura. Przy zewnętrznym egzaminowaniu sprawdzana jest równocześnie nie tylko wiedza ucznia, ale i skuteczność nauczycieli.

Rodzice winni mieć możliwość wybrania szkoły dla swoich dzieci, względnie, jeżeli taka jest ich wola, zapewnić im nauczanie domowe. Współcześnie, szczególnie w USA, rośnie zjawisko nauczania domowego. Rodzice lub zorganizowana grupa rodziców zapewniają swoim dzieciom nauczanie w domu. Oczywiście dzieci takie muszą zdawać egzaminy państwowe, jeżeli chcą awansować w życiu, bo dzisiaj nie zdobędzie się pracy bez świadectwa ukończenia jakichś szkół. Na ogół nie ma z tym problemów. Wyższe uczelnie w USA już dawno przekonały się, że dzieci po nauczaniu domowym to bardzo dobrzy studenci i chętnie je przyjmują na studia. Nie ulega jednak wątpliwości, że u nas długo jeszcze głównym miejscem pobierania nauki będą szkoły, głównie państwowe. Chodzi jednak o to, by funkcjonowały w sposób zgodny z życzeniem rodziców w zakresie kierunku wychowania i nauczania. Wykładnią dla nauczycieli i kierownictwa szkoły winna być wola rodziców, a nie dyrektywy kuratoriów czy ministerstwa oświaty. Jak to osiągnąć?

Od dawna się mówi o wprowadzeniu bonów edukacyjnych. Były one w programie wyborczym AWS, ale zaraz po wyborach okazało się, że to tylko hasło wyborcze i nawet nie próbowano tego postulatu zrealizować. Na czym ma to polegać? Państwo ma określony budżet na oświatę. Ile jest w Polsce dzieci w poszczególnych grupach wiekowych wiadomo. Również mniej więcej wiadomo, jaki jest procent młodzieży w wieku powyżej 18 lat kontynuującej naukę (do 18 roku życia jest obowiązek szkolny). Koszt edukacji rośnie z wiekiem dziecka i mniej więcej wiadomo, ile wynosi on dla poszczególnych grup wiekowych. Wiadomo też, ile jest dzieci niepełnosprawnych i o ile droższa jest ich edukacja. Na bazie tych informacji można podzielić budżet Ministerstwa Edukacji na wszystkie dzieci pobierające naukę i pieniądze te rozdać rodzicom w postaci imiennych bonów. Przy pomocy tych bonów rodzice będą płacić za oświatę. Jeżeli rodzice nie chcą nic dokładać, to bony te winne wystarczyć do opłacenia najbliższej szkoły państwowej. Jeżeli komuś oferta państwowa nie odpowiada, to może oddać dzieci do innej szkoły, na przykład wyznaniowej, i jeżeli ona tego wymaga, dopłacać do edukacji swoich dzieci. W tym systemie pieniądze szłyby za dziećmi. Szkoła realizowałaby bony otrzymane od wychowanków. Ze złych szkół rodzice zabieraliby dzieci, zaś dobre by się rozrastały. Gdyby szkole groziła likwidacja z powodu małej liczby uczniów, to albo rodzice musieliby się zgodzić na przeniesienie dzieci do większej szkoły położonej gdzie indziej, albo musieliby dopłacać do jej utrzymania. Skończyłyby się naciski na dofinansowywanie nierentownych szkół. Przestałoby to być problemem kuratorium, a stałoby się problemem rodziców. Wysokość posiadanych środków państwowych na edukację byłaby powszechnie znana i byłyby one w sposób klarowny dzielone. Co roku, na bazie posiadanego budżetu, sporządzano by tabelę wartości bonu na dziecko w danym wieku i dostarczano te bony rodzicom. To wszystko. Organizacją szkół, doborem nauczycieli, ich kwalifikacjami i pensjami, doborem podręczników, inwestycjami itd., zajmowałiby się rodzice, związki wyznaniowe, prywatni właściciele szkół i wreszcie samorządy. W ogóle kuratoria i większość urzędników Ministerstwa Edukacji okazałaby się niepotrzebna. Pozostałoby im do zrobienia tylko coroczne ustalenie wartości bonów i ich rozprowadzenie oraz zorganizowanie egzaminów pozaszkolnych. W ten sposób więcej środków byłoby też do podziału na dzieci.

Rodzice zapewniający dzieciom nauczanie domowe też winni mieć możliwość korzystania z przysługujących im dzieciom bonów. Można by to zorganizować na

zasadzie kredytowania pod zastaw bonów, umarzanego po zdaniu egzaminów właściwych dla ukończenia danego etapu edukacji.

Oczywiście pomysł z bonami edukacyjnymi pozbawia państwo kontroli nad treścią edukacji. Ta kontrola przeszłaby w ręce rodziców. Skończyłaby się państwowa indoktrynacja po linii poprawności politycznej (aktualnej linii partii rządzącej). Pojawiłaby się duża różnorodność w zakresie programów nauczania, lektur, ich interpretacji, jak i interpretacji zdarzeń historycznych i politycznych. Według życzenia rodziców, byłaby katechizacja lub by jej nie było, byłaby edukacja seksualna lub by jej nie było. Myślę, że również zgodnie z wolą rodziców szkoły wprowadzałyby większą lub mniejszą dyscyplinę.

### ***Dyscyplina***

Brak dyscypliny w szkołach to jeden z największych problemów obecnego systemu oświaty. Głośne ostatnio nagrania na wideo pokazujące, jak uczniowie traktują nauczycieli, sygnalizują, że jakieś zmiany są konieczne. Coraz częściej mówi się o powrocie do kar cielesnych. Jest to jednak z różnych względów trudne do przywrócenia. Ale jakieś sankcje muszą być i to dotkliwe, zarówno dla ucznia, jak i dla jego rodziców. Możliwości są różne: nakaz pozostania po lekcjach, wzywianie rodziców, żądanie, by razem z dzieckiem pozostali po lekcjach i pilnowali je, aby przepisywało to, co mu się zada, nakazanie pewnych robót dla dobra szkoły do wykonania przez dziecko lub razem z rodzicami, żądanie dodatkowej opłaty za pracę nauczyciela po godzinach, gdy pilnuje dziecko itd. Ostateczną karą jest wyrzucenie ze szkoły, a w odniesieniu do dzieci w wieku, w którym istnieje jeszcze obowiązek szkolny, przeniesienie do szkoły z podwyższonym rygorem. Ostatnim etapem takich przenosin może być poprawczak. Sama świadomość, że można trafić pod taki rygor, będzie już działać odstrasżająco.

Swego czasu widziałem w telewizji raport o eksperymentalnym programie resocjalizacyjnym dla więźniów pospolitych w USA. Program polega na skierowaniu do więźniów oferty zamiany długoletniego więzienia na trzymiesięczny pobyt w obozie resocjalizacyjnym. Tam od świtu do nocy podlegają najostrzejszemu z możliwych rygorów. Bez ustanku na więźniów krzyczą kaprale i wymagają natychmiastowego, bezwarunkowego, posłuszeństwa. Każdy więzień może w każdej chwili zrezygnować i wrócić do zasądzonej odsiadki w tradycyjnym więzieniu. Przerwy chorobowe powodują wydłużenie okresu obecności w tym programie. Kto wytrzyma, idzie na wolność. Podobno po takim szkoleniu recydywa maleje do 20% tego, co się obserwuje po zwalnianiu z więzień tradycyjnych. W programie tym więźniowie, może po raz pierwszy w życiu, uczą się, że trzeba, można i warto kogoś słuchać. Eksperyment ten ukazuje, że dyscyplina jest w życiu potrzebna oraz że stosowanie jej przynosi pozytywne efekty wychowawcze.

W Wielkiej Brytanii jeżeli kogoś przyłapią na ściąganiu na maturze lub na egzaminach uczelnianych, to dostaje on wilczy bilet. Wszystkie brytyjskie uczelnie na świecie są o tym informowane i taki człowiek na żadne studia się nie dostanie. Jest to kara drastyczna, ale fakt, że jest konsekwentnie stosowana i raz po raz ktoś jest w ten sposób ukarany, wystarcza, by nikt nie ważył się na egzaminach ściągać. Takie sankcje przydałyby się i u nas.

W Singapurze za przestępstwa chuligańskie sądy skazują na kary cielesne. Głośny był przypadek amerykańskiego młodzieńca, który po pijanemu obsmarował kilka samochodów sprayem. Przyłapano go i dostał karę 8 uderzeń kijem w pośladki. Nie pomogła interwencja prezydenta Clintona w imię obrony godności osoby ludzkiej. Karę wykonano.

Ten człowiek już więcej nie będzie opryskiwał sprayem samochodów, przynajmniej w Singapurze. W Singapurze jest też karalne wypluwanie na ulicę gumy do żucia. Czasami zazdroszczę Singapurczykom, gdy widzę nagminnie na naszych chodnikach czarne placki po gumie, a szczególnie gdy podlepiona pod meble guma przyklei mi się do ubrania. Jeżeli jest ku temu wola polityczna, można egzekwować dobre zachowanie.

Obecne metody wychowawcze w szkołach nie zdały egzaminu. Oparte są na zasadzie dawania dziecku maksimum wolności w decydowaniu o sobie, czyli „róbta co chceta”. Od tego trendu trzeba odejść, trzeba powrócić do metod zwiększonego rygoryzmu.

### ***Tolerancja***

Potrzebna jest różnorodność nie tylko szkół, ale i w ramach szkół. Dzieci trzeba wychowywać w świadomości, że ludzie są różni i mają prawo do zachowania swojej odmienności. Teraz na pewno Unia Europejska będzie intensywnie uczyć nas tolerancji. Niepotrzebnie. Na Zachodzie panuje przekonanie, że u nas dominuje nietolerancja i wrogość wobec obcych. Mamy własny sposób współżycia z ludźmi innego wyznania, rasy czy cywilizacji, sprawdzony przez wieki sposób bezkonfliktowego współżycia.

Wobec ludzi innych narodowości niż polska, a żyjących wśród nas, stosować musimy tradycyjną tolerancję, pozwalającą zarówno na pełną integrację z polskością, jak i na życie odrębne, choćby przez pokolenia. To zależy od woli samych zainteresowanych. Natomiast nigdy nie godziliśmy się na to, by obcy dyktowali nam, jak my, w Polsce, mamy organizować nasze polskie sprawy.

To samo dotyczy spraw wyznaniowych. Różni innowiercy, zarówno polscy dysydenci, jak i imigranci szukający u nas azylu przed religijnym prześladowaniem gdzie indziej, zawsze znajdowali w naszym kraju bezpieczny byt. Oferta przyjęcia wiary katolickiej zawsze była otwarta, ale nigdy nie była narzucana, jak np. w Niemczech gdzie obowiązywała zasada *cuius regio eius religio* (czyja władza, tego religia). Żyli i żyją wśród nas protestanci, prawosławni, muzułmanie, żydzi. Byli i są wśród nich tacy, którzy czują się Polakami i za takich są uważani, oraz tacy, którzy z polskością się nie identyfikują, pozostając w związku świadomościowym z innym Narodem. To polska delegacja na soborze w Konstancji (rok 1414) upomniała się o prawa pogan i nakłoniła Kościół do potępienia metody nawracania mieczem. Jako pierwsi zrównaliśmy prawa katolików i niekatolików. Szanujemy wiarę innych. Naród polski jest jednak w przytłaczającej większości Narodem katolickim i z tego powodu nasze życie zbiorowe winno być zorganizowane w sposób, który nie byłby sprzeczny z etyką katolicką. Ponadto naszym innowiercom nie pozwalamy na obrażanie naszych uczuć religijnych, ani na prowadzenie działalności antykatolickiej.

Ostatnią większą falę imigrantów w Polsce stanowili greccy komuniści, którzy znaleźli u nas azyl po II wojnie światowej. Część z nich przyjęła katolicyzm, a część pozostała prawosławnymi czy ateistami, część się spolonizowała, a część pozostała przy greckości. Niektórzy wrócili do Grecji, a inni pozostali u nas. Nigdy nie było z nimi żadnych problemów na styku z ludnością polską. Taki model współżycia akceptujemy i proponujemy innym.

Ze zróżnicowaniem rasowym mamy mniejsze doświadczenia. Miewamy studentów innych ras i na ogół są dobrze przyjmowani przez polskich kolegów.

Sporadycznie pojawiają się dzieci ze związków mieszanych, najczęściej nieślubne. Spotykają się one z ciekawością otoczenia, ale nie z wrogością.

Najtrudniej jest na styku cywilizacyjnym. Społeczności żyjące według innej metody życia zbiorowego zwykle zachowują zupełną odrębność. Pragną tej odrębności i pozwalamy im na nią. Dotyczy to cyganów, a swego czasu dotyczyło również Żydów, gdy trwali przy odrębnym stylu życia w swoich gminach i kahałach. Ten tryb życia w odrębności od trybu panującego w Narodzie polskim jest dobrowolnym wyborem. Nikt do niego nie zmusza, ani go nie zabrania. Taki jest styl polskiej tolerancji i do niej winniśmy wychowywać następne pokolenia.

Dzisiaj Polsce stawia się zarzut, że Żydzi u nas żyli w gettach. Prawdą jest, że żyli tak, bo chcieli tak żyć. Dopiero Niemcy w czasie okupacji zamykali Żydów w gettach, zabraniali im poruszać się gdzie indziej. Pod polskim panowaniem nikt ich nie zamykał w gettach - tworzyli je sami, dla siebie, w celu utrzymania swojej odrębności. Trzeba ich podziwiać, jak bardzo w tym względzie byli skuteczni. Asymilacji nie chcieli, nikt ich do niej nie namawiał i utrzymywali swoją odrębność przez wieki. Dziś nieraz mówimy o polskich gettach w USA czy w innych skupiskach wychodźstwa. Wiele moglibyśmy się od Żydów nauczyć, na przykład jak utrzymywać swoją tożsamość i odrębność w obcym środowisku. By jednak stworzyć autentyczne getto, trzeba się znaleźć w środowisku cywilizacyjnie obcym. Tymczasem środowiska polonijne zwykle znajdują się w krajach kręgu cywilizacji łańskiejskiej i w rezultacie łatwo się asymilują.

Wróćmy jednak do kraju. Jeżeli środowisko odrębne językowo, wyznaniowo, rasowo czy cywilizacyjnie pragnie odrębności oświatowej, to winno mieć prawo zakładania swoich własnych szkół. Środków, jakich na ten cel może się spodziewać od państwa winno być tyle, ile wynika z liczebności dzieci. Jeżeli udałoby się wprowadzić system bonów edukacyjnych, to rodzice mieliby na każde dziecko takie same bony, jak dzieci należące do społeczności stanowiącej większość. Czy takie środowiska będą na tyle prężne organizacyjnie, by trud powołania własnej szkoły podjąć, to już będzie zależało wyłącznie od nich. Natomiast jeżeli przedstawiciele grup mniejszościowych będą chcieli wysyłać swe dzieci do szkół prowadzonych przez społeczność większościową, to nic nie stoi na przeszkodzie, ale wtedy dzieci te muszą zaakceptować obowiązujące w danej szkole normy. Jeżeli na przykład w szkole prowadzonej przez jakieś katolickie zgromadzenie zakonne w każdej klasie jest krzyż, przed lekcjami jest modlitwa i obowiązuje mundurek, to dzieci innowiercze muszą to zaakceptować. Nie muszą odmawiać modlitwy, ale nie mogą w jej odmawianiu przeszkadzać. Ta sama zasada winna obowiązywać w drugą



stronę. Jeżeli katolik chce wysłać dziecko do szkoły protestanckiej, bo uważa, że tam jest lepszy poziom (tak się może zdarzyć na przykład na ziemi cieszyńskiej), to dziecko musi się podporządkować obowiązującym w tej szkole normom.

Szkoła musi mieć prawo stawiać nauczycielom określone wymagania. Chodzi tu nie tylko o ich kwalifikacje zawodowe, ale i o postawę moralną. Szkoła może więc wymagać, by życie rodzinne nauczycieli odpowiadało normom, ku którym szkoła ma wychowywać. Oznacza to, że szkoła musi mieć prawo, jeżeli życzą sobie tego kierownictwo szkoły i rodzice, wypowiedzenia pracy nauczycielowi, który zmienił wyznanie, wszedł w niesakramentalny związek małżeński lub jawnie żyje w związku homoseksualnym.

Taki model relacji międzyludzkich na terenie szkół winniśmy kształtować nie tylko u siebie, ale i promować go za granicą. Chodzi tu nie tylko o los Polaków mieszkających wśród obcych, ale w ogóle o normy właściwe dla cywilizacji łacińskiej, do której należymy, którą współtworzymy i którą winniśmy promować na całym świecie. Mamy swoje doświadczenia w zakresie tolerancji i mamy co zaoferować innym w tej dziedzinie.

## **Studia wyższe**

W Polsce ciągle obowiązuje, choć w coraz mniejszym zakresie, zasada, że studia wyższe są bezpłatne. Państwo płaci za studia, rodzice za utrzymanie studenta. Z reguły dotyczy to tylko studiów dziennych. Rosną naciski, by tę zasadę zlikwidować, zastąpić ją kredytem, który potem absolwent będzie spłacał. Niestety absolwenci to zwykle równocześnie młode rodziny. Jest to taki okres w życiu, w którym o pieniądze najtrudniej. Dzisiaj też bardzo trudno o pracę dla absolwentów. System kredytowy spowoduje rosnące zadłużenie młodych małżeństw już na samym starcie ich drogi życiowej. Chodzi o długi, z których mogą nie wyjść nigdy, bo dochodzić im będą wciąż nowe potrzeby kredytowe związane z zakupem mieszkania, samochodu itd. Nie tędy więc droga.

Optowałbym za utrzymaniem bezpłatności studiów, ale wprowadziłbym różne ograniczenia. Przede wszystkim nie można „produkować” nieskończonej liczby absolwentów na kierunkach, po których wiadomo, że nie będzie dla nich pracy. Państwo winno wyliczyć, jakie będzie mniej więcej zapotrzebowanie na prawników, lekarzy, leśników, filozofów, historyków sztuki itd. Po dokonaniu takiego wyliczenia należałoby rozdzielić odpowiednie limity pomiędzy poszczególne wydziały

państwowych uczelni. Uczelnie miałyby prawo, drogą konkursu, przyjmować studentów do wyznaczonego limitu. Powyżej limitu mogłyby przyjmować tylko studentów płatnych. Student, który musi poprawiać rok, winien za ten rok zapłacić. To by dopingowało do kończenia studiów w terminie.

Dostanie się na studia bezpłatne byłoby równoznaczne z otrzymaniem stypendium w wysokości kosztów nauczania na danym wydziale. Wartość tego stypendium winna być wliczana do przychodów rodziny przy wyliczaniu podatku według systemu, jaki proponuję w rozdziale o programie prorodzinnym.

Studia odpłatne, czyli powyżej przyznanego wydziałowi limitu na uczelniach państwowych oraz te na uczelniach prywatnych, „produkowałyby” absolwentów ponad przewidywane zapotrzebowanie naszej gospodarki. Na rynku pracy konkurować będą na równych prawach z absolwentami ze studiów bezpłatnych. Rynek ureguje zakres zapotrzebowania na takich absolwentów. Wprowadziłbym jednak dla absolwentów studiów bezpłatnych obowiązek pozostania w Polsce na okres nie krótszy niż długość studiów. Nie muszą podejmować pracy koniecznie w wyuczonym zawodzie, może to być praca dowolna, na przykład wychowywanie własnych dzieci w domu. Chodzi o zorganizowanie sobie życia w Polsce, o zakorzenienie się tutaj, czyli o przeciwdziałanie drenażowi mózgowi, ucieczce najlepszych absolwentów za granicę. Kto by podjął pracę za granicą przed spełnieniem powyższego wymogu, miałby wobec Polski dług w postaci kosztów studiów plus odsetki. Musiałby się z fiskusem rozliczyć. W przeciwnym razie byłby ścigany przez polski urząd skarbowy. To wydaje się być bardzo surowym stanowiskiem, szczególnie w obliczu istniejącego bezrobocia, ale przecież biedna Polska nie może finansować kształcenia kadr gospodarkom obcym. Absolwentów studiów odpłatnych takie ograniczenia by nie obowiązywały.

Przy okazji uwaga o tragicznej dziś w konsekwencjach praktyce przyjmowania wielkiej liczby studentów na pierwszy rok tylko po to, by zapłacili za studia, a po roku ich się wyrzuca. Uczelnie w ten sposób łatają swoje dziury finansowe, równocześnie produkując frustratów. Kiedyś w Wielkiej Brytanii dokonano analizy porównawczej dwóch grup ludzi: tych, co zdawali na studia, ale się nie dostali, i tych, co się dostali, ale po drodze odpadli i nie uzyskali dyplomu. Ci pierwsi jakoś sobie życie zorganizowali na bazie świadectwa ukończenia szkoły średniej, a ci drudzy żyli z kacem życiowego niepowodzenia. Ci pierwsi mieli na ogół normalne życie, a ci drudzy w dużym odsetku popadali w alkoholizm, narkomanię, choroby psychiczne, przeżywali rozwody itd. Wnioskiem tego studium była uwaga, że uczelnie winne dokładnie przebadac kandydatów przed przyjęciem na studia, a po przyjęciu starać się prawie wszystkich doprowadzić do dyplomu. Jakiś odsiew musi być, dla utrzymania dyscypliny nauczania, ale chodzi o to, by był on jak najmniejszy. Jeżeli uczelnia przyjmuje na pierwszy rok 700 studentów, a po roku zostaje ich 70, to pozostałym czyni krzywdę. Wyzyskuje ich materialnie i wpędza w depresję. Takie praktyki są niegodne misji oświatowej i wychowawczej uczelni.

## Obrońa

W wojsku polskim potrzebne są zmiany. Sytuacja geopolityczna, zmiana sojuszy (udział w NATO) i nowy charakter zagrożeń międzynarodowych wymagają nowego podejścia do tematu obrony narodowej. Są jednak pewne elementy stałe, o których zapominać nie wolno. Od nich zacznę.

### Zasady ogólne

Zadaniem wojska jest obrona państwa i Narodu przed zagrożeniem zewnętrznym. Zadaniem policji jest obrona obywateli przed przestępcami. Wszelkie angażowanie wojska czy policji do celów politycznych, do obrony władzy przed obywatelami, musi być zabronione.

By wojsko i policja spełniały swoją rolę prawidłowo, muszą być odpowiednio finansowane z budżetu państwa. O wielkości polskich sił zbrojnych decydować może tylko polski rząd i żadne zalecenia zagraniczne nie mogą nas obowiązywać. Dotyczy to również rozlokowania polskiego wojska. Z sojusznikami można pewne rzeczy uzgadniać, ale decyzje muszą zawsze być nasze i musimy mieć prawo w każdej chwili je zmienić.

Czas na szkolenie winien być maksymalnie wykorzystany, by rekruci nie mieli czasu i sił na wzajemne dokuczanie sobie. Takie pojęcia, jak „fala” czy „koty” muszą na zawsze zniknąć. Skandalem jest trzymanie poborowych w koszarach bez zajęć i bez nadzoru. Żołnierz nigdy nie może się nudzić.

Udział wojska polskiego w międzynarodowych operacjach pokojowych jest wskazany, gdyż daje to okazję do przeszkolenia żołnierzy w autentycznych sytuacjach zagrożenia bojowego.

Armia polska zaopatrywać się musi przede wszystkim w polskich zakładach zbrojeniowych. W razie jakiegokolwiek konfliktu zbrojnego trzeba się liczyć z tym, że o broń może być bardzo trudno, chociażby z powodu zagrożenia obcymi sankcjami. Doświadczają tego dzisiaj wszystkie kraje prowadzące wojny. Polska nie ma zamiaru wszczynać jakiegokolwiek wojny, ale musi być zdolna do obrony, gdy zostanie zaatakowana. Ważna tu jest nie tylko polityka zagraniczna, która powinna zabezpieczyć nas przed konfliktami zbrojnymi i izolacją, ale również własny potencjał militarny. Im będziemy wojskowo silniejsi i sprawniejsi, tym bardziej będą się z nami liczyć sąsiedzi, tym łatwiej będzie o politykę pokojową i tym łatwiej zapewnimy bezpieczeństwo naszych granic. *Si vis pacem, para bellum* (jeśli chcesz pokoju, gotuj się do wojny). Powierzenie bezpieczeństwa obcym (sojusznikom) to tylko złudzenie bezpieczeństwa. Bazowanie w unowocześnianiu armii na obcej produkcji zbrojeniowej również daje zaledwie złudzenie siły. W razie konfliktu wnet zabraknie amunicji, części zamiennych, pieniędzy na ich zakup, a najczęściej i dostawcy. Trzeba mieć własne źródła dostaw. Silnego i samodzielnego się nie rusza. Musimy więc być silni i samodzielni. Nie wszystko da się w Polsce wyprodukować, ale dążyć musimy do maksymalnej samowystarczalności w tym względzie.

Oznacza to, że nasz przemysł zbrojeniowy musi mieć wsparcie państwa. Musi posiadać zamówienia przede wszystkim od polskich sił zbrojnych. Konsument produkcji zbrojeniowej pozostanie państwowym monopolistą. Producent monopolistą być nie musi, choć – póki co – najczęściej jest. Cieszyłaby prywatyzacja i konkurencja

w produkcji zbrojeniowej, ale konkurencja krajowa. Zakłady zbrojeniowe muszą pozostać własnością polską. Nim dojdzie do powstania i zorganizowania wystarczającego rodzimego kapitału prywatnego, zakłady zbrojeniowe muszą pozostać własnością państwową.

### **Potrzebne zmiany**

Powszechna służba wojskowa to przeżytek. Potrzebna jest armia zawodowa. Jej siły liczebnej nie wolno redukować, czyli jej efektywna liczebność winna wzrosnąć, gdy zawodowcy zastąpią poborowych.

Przygotowanie wojskowe winno być tak ukierunkowane, by zwiększyć mobilność naszych wojsk, ich zdolność do szybkiego reagowania, nawet daleko poza granicami Polski. O skuteczności wojska nie decydują parady, politycy w mundurach czy nawet liczebność armii, ale sprawność działania i gotowość do natychmiastowego wkroczenia do akcji tam, gdzie jest ona potrzebna.

Nasza doktryna obronna opierać się musi na założeniu, że w wyniku układów sojuszniczych musimy być zdolni do przyścia z pomocą w miejscach, gdzie nasi sojusznicy są atakowani. Spodziewamy się wzajemności, ale musimy się liczyć z tym, że może jej zabraknąć. Tego nauczyła nas historia. Dzisiaj podstawowym zagrożeniem są nie tyle inwazje obcych wojsk, co ataki terrorystyczne. Z plagą terroryzmu walczyć musi cały cywilizowany świat. Do tego potrzebne są inne zdolności niż przy walce frontowej regularnych formacji wojskowych. Z potrzeby tej wynika konieczność szczególnego rozbudowania jednostek antyterrorystycznych i poprawa wspomnianej wyżej mobilności. Z drugiej strony potrzebne jest przygotowanie społeczeństwa na ewentualność ataków terrorystycznych.

Z tematem tym łączy się konieczność budowania zorganizowanej obrony cywilnej. W związku z tym, zamiast poboru do służby wojskowej, wszyscy młodzi ludzie, w wieku powiedzmy 18 lat, winni przejść 3-miesięczne intensywne przeszkolenie wojskowe, przeszkolenie właśnie pod kątem szybkiego reagowania na kryzysy spowodowane czy to przez ataki terrorystyczne, czy przez klęski żywiołowe. Chodzi o naukę posługiwania się bronią palną, o naukę udzielania pierwszej pomocy, o przygotowanie do działań przeciwpożarowych, no i o stworzenie sieci organizacyjnej pozwalającej na szybkie „skrzyknięcie” i zorganizowanie się. Oczywiście kadry organizacyjne musiałyby się wywodzić spośród wojsk zawodowych, odpowiednio szkolonych do pracy z „pospolitym ruszeniem”, ale zanim one się pojawią, już najbliżsi „sąsiedzi” wydarzenia kryzysowego powinni być zdolni sensownie działać. Przy takim założeniu w chwili kryzysu zmobilizowany mógłby być każdy.

Proponowane trzymiesięczne szkolenie dla potrzeb obrony cywilnej można by zorganizować w taki sposób, by kolejne turnusy (grupy) nie nakładały się na siebie. Zlikwidowałyby to „falę” i pojęcie „kotów”. Szkolenia te traktować należałoby jako przedłużenie obowiązku szkolnego. Z uczestnictwa w tych kursach powinni być zwolnieni jedynie zdecydowanie niepełnosprawni, którzy w żadnej sytuacji kryzysowej przydatnymi być nie mogą. Zlikwidowałyby to nadużycia przy unikaniu

poboru. Uczestnicy winni traktować szkolenie jako ciekawą przygodę, rodzaj sportowych, kształcących i pożytecznych wakacji.

Zdolniejszym uczestnikom szkoleń można by proponować wstąpienie do armii zawodowej. Stanowiłyby więc one pierwszy filtr przy wyszukiwaniu kandydatów do kariery w wojsku zawodowym. Służba w armii zawodowej powinna stać się zajęciem wysoce zaszczytnym, karierą pożądaną, do której nie tak łatwo się dostać. Wojsko zawodowe musi być bardzo dobrze wyszkolone, zdolne do szybkiego transferu w dowolne miejsce na świecie i odpowiednio opłacane.

Dlaczego piszę o działaniach daleko poza Polską? O moim stosunku do wojny w Iraku pisałem w osobnym rozdziale i uzasadnień dla mej krytycznej oceny polskiego uczestnictwa w tej wojnie nie będę tu powtarzał, ale niemniej jednak uważam, że winniśmy być zdolni do szybkiego wysłania wojsk gdziekolwiek. Szczególnie chodzi mi o operacje pokojowe. Mamy doświadczenie w tej mierze i winniśmy właśnie takie akcje traktować jako poligon szkoleniowy dla naszych wojsk. Udział w takich działaniach przynosi nam chlubę i służy utrzymywaniu pokoju na świecie.

Mimo wszystko pozostaje faktem, że trening w Iraku ma większą wartość szkoleniową nie tylko w porównaniu z ćwiczeniami poligonowymi, ale i w porównaniu z akcjami pokojowymi, gdzie obie strony konfliktu akceptują obecność polskich wojsk. Opanowanie strachu w sytuacji realnego zagrożenia to podstawowa cecha dobrego żołnierza. Fakt przeszkolenia sporej grupy polskich wojskowych w Iraku, ma ogromne znaczenie dla wartości naszych sił zbrojnych. Weterani tej wojny to niewątpliwie podstawa kadry przyszłej armii zawodowej.

Dzisiaj udział polskich żołnierzy we wszystkich misjach zagranicznych, z Irakiem włącznie, kosztuje 400 mln zł rocznie, czyli około 2,4 % budżetu Ministerstwa Obrony Narodowej (*Gazeta Poznańska* 28.V.04). Nie są to wielkie koszty, a szkolenie na misjach jest o wiele bardziej efektywne niż na poligonach. Żołnierz na misji nie kosztuje wiele więcej niż w krajowych koszarach. Winniśmy się starać, by każdy żołnierz zawodowy otarł się o jakąś misję, a szczególnie w kadrze oficerskiej warunkiem awansu powinno być uczestnictwo w takiej operacji.

## **Operacje międzynarodowe**

Pozostaje pytanie, w jakich akcjach uczestniczyć? Warunków jest kilka.

Po pierwsze, nie powinniśmy uczestniczyć w wojnach kolonialnych. To jest sprzeczne z naszą tradycją. Nie odpowiada nam rola okupanta czy kondotiera walczącego za korzyści materialne. Niestety taką rolę odgrywaliśmy lub odgrywamy w Haiti i w Iraku.

Po drugie, nie powinniśmy występować jako strona konfliktu, chyba że jesteśmy sami zaatakowani lub zaatakowany jest nasz sojusznik.

Po trzecie, każde nasze uczestnictwo musi wynikać z przesłanek etycznych. Musimy mieć świadomość, że przychodzimy z pomocą w słusznej sprawie. Najczęściej będzie chodziło o utrzymanie pokoju, jakiegoś chwiejnego rozejmu, który bez międzynarodowego wsparcia może się znowu zmienić w gorącą wojnę. Mogą też być dodatkowe przyczyny, dla których właśnie my winniśmy na daną misję wysłać polskich żołnierzy. Na przykład oceniam, że dobrze by było, aby Polacy pojechali dziś do Sudanu w ramach operacji

stabilizacyjnej. W strefie konfliktu jest tam zagrożona ludność chrześcijańska. Nasza obecność przydałaby się więc tam w sposób szczególny.

Po czwarte, nie jest obojętne, w ramach jakiej organizacji uczestniczymy zbrojnie w konflikcie. Dotychczasowe nasze doświadczenia uczestnictwa w operacjach ONZ (niebieskie hełmy) są bardzo dobre. Stąd dobrze by było, aby operacja w Iraku przybrała właśnie taki charakter. Za mało się w tym kierunku robi. Operacje w ramach NATO mogą wynikać z naszych zobowiązań sojuszniczych (nie dotyczy to Iraku), od których się nie uchylamy. Mogą też być operacje zorganizowane *ad hoc*, dla uspokojenia jakiegoś obszaru konfliktowego, jak np. akcja stabilizacyjna w byłej Jugosławii (Macedonia, Kosowo) w ramach KFOR-u.

Natomiast winniśmy sprzeciwić się powoływaniu armii europejskiej. Uczestniczenie w eurokorpusie byłoby formą akceptacji Unii Europejskiej jako instytucji o charakterze państwowym. Byłoby to uznanie prawa instancji niepolskich do decydowania o wykorzystaniu wojska polskiego. Byłoby to poddawaniem wojska polskiego pod komendę decydentów Unii, a więc w praktyce Niemcom (już w tej chwili Niemcy zaoferowały Unii „europejskie centrum dowodzenia” pod Berlinem). Byłoby to też uznaniem, że są europejskie sprawy wojskowe nie mieszczące się w obszarze zainteresowania NATO, a więc – posunięciem antyamerykańskim. Taka europejska armia nie zwiększałaby naszego bezpieczeństwa. Wręcz przeciwnie. Oznaczałaby zagrożenie dla naszych interesów ze strony Niemiec. Wszelkich operacji w ramach eurokorpusu będziemy się kiedyś wstydić, tak jak naszego udziału w inwazji Czechosłowacji w latach 1938 i 1968 r.

## **Weterani**

Wreszcie sprawa weteranów. Wyciągamy ich w galowych mundurach na różne uroczystości rocznicowe, ale z autentycznym dowartościowaniem ich nie jest najlepiej. Po pierwsze, rewaloryzacja emerytur nie może być na niższym poziomie niż rewaloryzacja płac. Po drugie, koniecznie trzeba przeanalizować stary portfel i odebrać niezasłużone wypłaty. ZBoWiD to był związek bojowników o wolność i demokrację. Otóż trzeba oddzielić bojowników o wolność od bojowników o demokrację. Pod tym drugim pojęciem mieszczą się „utrwalacze władzy ludowej”, jak i wojskowi, którzy nigdzie prochu nie wachali, a stanowili jedynie zaplecze polityczne dla nieakceptowanej przez Naród władzy. Trzeba też zweryfikować zasadność różnych awansów i odznaczeń, które wynikały nie z zasług wojskowych, ale politycznych, a mają wpływ na wysokość emerytury. Równocześnie dowartościować trzeba tych weteranów, których ze względów politycznych przy awansach i odznaczeniach pomijano.

## Kultura

Kultura to taka dziedzina, która albo się rozwija, albo nie, i państwo nie ma na to większego wpływu. Do twórczości kulturalnej ani nie można nikogo zmusić, ani jej zakazać. Najwięksi twórcy bardzo często tworzyli w wielkiej biedzie, bez żadnego wsparcia państwowego, do szuflady „sobie a muzom”. Jeżeli było państwowe wsparcie, to i ocena wartości takiej twórczości kończyła się wraz z zakończeniem sprawowania władzy przez daną orientację polityczną. Tak było z twórczością artystów – socrealistów wspieranych przez władze komunistyczne, czy z analogiczną – wspieraną przez hitleryzm. Nie tylko pomniki są burzone wraz z pamięcią o ich twórcach, ale i architektura danej epoki pozwala się popaść w ruinę, książek się nie wznawia, sztuk teatralnych nie wystawia, a sami twórcy nieraz skrzętnie ukrywają swoje wcześniejsze dzieła służalcze wobec minionej epoki (np. wiersze Szymborskiej epoki stalinizmu).

Jaka więc powinna być rola państwa w sferze kultury?

Widziałbym tu państwo w podwójnej roli: w roli strażnika moralności publicznej i w roli opiekuna dorobku kulturowego kraju.

### **Państwo jako cenzor**

Zacznę od stwierdzenia, że chodzi mi nie o cenzurę prewencyjną, którą stosują systemy totalitarne bojące się tego, co może trafić do publicznej wiadomości, ale o cenzurę represyjną, czyli o wyraźne określenie zasad, co wolno, a czego nie wolno, i o karanie twórców naruszających obowiązujące normy. W zdrowym społeczeństwie państwo nie musi takiej roli pełnić, bo ludzi prawdziwej kultury cenzurować nie trzeba. Źle jest, jeżeli państwo cenzuruje z przyczyn politycznych. Władza, która musi bronić siebie poprzez cenzurę, jest władzą słabą, bojącą się krytyki, satyry czy zwykłej prawdy o sobie. Cenzura jednak jest potrzebna w obronie wartości nadrzędnych. Szanujące się państwo nie może pozwalać artystom na naruszanie obowiązujących norm obyczajowych czy też na profanacje.

Żyjemy w takich czasach, że już nie wiadomo dokładnie, gdzie się kończy sztuka a zaczyna pornografia. Artyści zawsze kroczyli po krawędzi, zawsze próbowali powiększać zakres swobody obyczajowej. Rolą państwa jest definiowanie granic tego, co jest dopuszczalne. Każda definicja spotka się z krytyką, że narusza się swobodę twórcy. Tę krytykę trzeba wytrzymać.

Dzisiaj granice obyczajowości są ustawione bardzo daleko po stronie nieobyczajności.

Nagość towarzyszy kulturze europejskiej od antyku. Nikt nie neguje piękna ciała ludzkiego, ale w każdej epoce znajdowali się artyści, którzy nadużywali nagości do promocji erotyzmu. Epoki różniły się tylko stopniem zdolności do jego ograniczania. Dziś też są ograniczenia. Pewne filmy nie mogą być nadawane w telewizji zbyt wcześnie, gdy dzieci są jeszcze przed telewizorami, skrajne wulgaryzmy są zastępowane gongiem, a pewne formy erotyzmu, na przykład pedofilia czy bestialstwo, pokazywane w jakiegokolwiek postaci, są karalne. Tak więc zasada

państwowej cenzury wobec artystów obowiązuje. Pytanie jest tylko, na jakim poziomie stawiać granice?

W wielu krajach Zachodu zanikła granica między sztuką a pornografią. Jej dostępność przez telewizję satelitarną i internet czyni wszelkie zakazy łatwymi do omijania. Niemniej jednak szanujący się kraj winien poprzeczkę obyczajową stawiać wysoko, dużo wyżej niż czyni się to dzisiaj w Polsce. Nikt nie proponuje zakazywać nagości w sztuce, ale na pewno swoboda dana artystom jest za duża. Musimy oddzielić kult piękna od promocji erotyzmu. Trzeba przywrócić poczucie wstydu i godności człowieka, przede wszystkim kobiety, bo to ona jest głównie eksploatowana przez zbyt zuchwałych artystów i handlarzy erotyką.

Osobnym zagadnieniem jest profanacja. W każdej społeczności są rzeczy święte, których kłać nie wolno. Tak się dzisiaj smutnie dzieje w świecie zachodnim, że profanowanie symboli żydowskich czy islamskich nie tylko nie przystoi, ale jest karane, zaś profanowanie symboli chrześcijańskich uchodzi na sucho. Uchodzi, bo my, chrześcijanie, na to pozwalamy. Otóż musimy przestać pozwalać. Zdecydowanie i konsekwentnie! Żadne argumenty o wolności artystycznej, żadna potrzeba szokowania czy zwracania na siebie uwagi, nie usprawiedliwiają profanacji.

To samo dotyczy symboli patriotycznych. Godła państwowego, hymnu, barw narodowych ośmieszać ani zestawiać z wulgaryzmami nie wolno. W USA z flagi Amerykanie szyją sobie spodnie. U nas na takie profanacje na ogół nie pozwalamy i taki obyczaj trzeba podtrzymywać. Kiedyś, gdy jako dzieciak zacytowałem w domu przyniesiony z podwórza wierszyk: „Stefan Batory wlaźł do komory”, mama zwróciła mi uwagę, że tak nie wypada, bo to był polski król. Powtórzyła to, co usłyszała od swego taty. Ja to przekazałem dalej moim dzieciom. Trudno karać za takie wypowiedzi, ale warto młodym ludziom uświadamiać, że to nie wypada, że w ten sposób narusza się majestat Rzeczypospolitej. Państwo ustawowo obejmuje ochroną symbole państwowe czy narodowe, ale ze ściganiem nadużyć jest gorzej. Trzeba się szanować. Jak nie będziemy szanować sami siebie, to i nas obcy szanować nie będą.

### **Państwo jako opiekun kultury**

Każde państwo łoży na kulturę. Pytanie jest tylko, na co te pieniądze wydawać? W moim przekonaniu wszystko powinno iść na ochronę dotychczasowego dorobku, na jego promocję i podtrzymywanie. Świadomość takiej potrzeby w Narodzie polskim istnieje i nie ma problemu z jej uzasadnianiem. Jeżeli jako Naród zdobyliśmy się na odbudowanie zabytków naszej kultury po zniszczeniach II wojny światowej, to tym bardziej musimy to robić stale w stosunku do tego, co niszczy na naszych oczach. Prace restauratorskie, osuszanie, odkażanie, archiwizowanie nowoczesnymi metodami (obfotografowanie, mikrofilmowanie, komputeryzacja), zabezpieczanie przed złodziejami, poszukiwanie dzieł skradzionych, wykupywanie na światowych aukcjach, wykupywanie od właścicieli prywatnych itd., to wszystko powinno być normą w pracy nad ochroną polskich dzieł sztuki wszelkich dyscyplin. Na ten cel muszą też być przeznaczone środki rezerwowe do natychmiastowego uruchomienia w sytuacjach nadzwyczajnych (powódzie, zawalenie się budynków, ataki terrorystyczne, upadłości właścicieli prywatnych, pojawienie się ważnych poloników na aukcjach).



Ochrona zabytków przeszłości musi też obejmować promocję pamięci o nich. Awangardowe sztuki teatralne niech się utrzymują na własny koszt czy koszt prywatnych sponsorów. Państwo musi łożyć na utrzymywanie repertuaru klasyków literatury polskiej. Chodzi o to, żeby każdy miał możliwość zobaczyć, a młodzież miała nawet obowiązek, takie sztuki, jak: „Dziady”, „Lilla Weneda” czy „Wesele”, i to wystawione zgodnie z intencją autora, a nie udużnione. Jeżeli ktoś chce posadzić Balladynę na motocyklu, a z Horpyny zrobić lesbijkę, to nich to robi na własne ryzyko, a państwo niech nie finansuje udziału wycieczek szkolnych w takich przedstawieniach czy filmach.

Trzeba wznawiać najcenniejsze dzieła polskiej literatury i umieszczać je na listach lektur obowiązkowych, tak by były masowo czytane. Ich dobór będzie zapewne się zmieniał z czasem, ale pewien kanon literatury powinien obowiązywać w szkołach niezależnie od tego, jaka partia rządzi. W szczególności przestrzegałbym przed umieszczeniem na liście lektur obowiązkowych dzieł autorów żyjących lub niedawno zmarłych - bo zawsze ma to posmak jakiejś poprawności politycznej. Czy coś z Miłosza i Szymborskiej zostanie w 10 lat po ich śmierci, zobaczymy. Nie mianujemy ich wieszczami przedwcześnie.

Jedną z zupełnie zaniedbanych dziedzin ochrony naszego dorobku kulturowego jest jego promocja za granicą. Są dzieła, które na obcym rynku same się nie przebijają nigdy, a gdyby były znane na świecie, wiele uczyniłyby dla promocji Polski. Trzeba więc organizować wystawy klasyków polskiej sztuki (m.in. Matejki, Wyspiańskiego, Fałata) w obcych galeriach. Trzeba tłumaczyć, wydawać i reklamować wśród obcych książki o uniwersalnym znaczeniu, a z założenia deficytowe, jak chociażby historiozoficzne prace Feliksa Konecznego. Natomiast również w tej pracy nie wolno za państwowe pieniądze promować twórców żyjących, bo zawsze będzie w tym jakiś element preferencji politycznych. Dopiero upływ czasu oddzieli ziarno od plew, to co ma trwałą wartość, od tego, co hołduje przemijającej modzie.

Osobnym zagadnieniem jest wspieranie działalności kulturalnej Polonii. Środowiska polskie poza granicami kraju często w większym stopniu żyją polską kulturą niż my tu, w kraju, bo jest im jej brak na co dzień. Nie zawsze ich stać, szczególnie na Wschodzie, na promocję kultury polskiej, np. zespołów tanecznych, chórów czy wydawnictw. Trzeba im w tym pomóc. Czasami nawet nie chodzi o pieniądze, ale o pomysł i ludzi do jego realizacji. Ileż to kościołów Polacy wybudowali na świecie dla swoich emigracyjnych społeczności. A gdyby tak zrobić profesjonalnie album ukazujący ten dorobek twórczy polskich architektów, malarzy, rzeźbiarzy, zdobników działających na obczyźnie. Przecież to bez problemu by się sprzedało w bogatszych ośrodkach polonijnych – ale tam nikt się takiej roboty nie podejmie z braku fachowców i środków. To musiałaby być ekipa z kraju, działająca na koszt państwa polskiego.

Przy okazji warto wspomnieć, że w różnych krajach istnieją lokalne środki na promocję kultury mniejszości narodowych. Trzeba informację o tym udostępniać emigrantom i wskazywać, na jakich warunkach można uzyskać do tych środków dostęp. Do tego potrzebna jest dobra współpraca polskich placówek dyplomatycznych z Polonią, ale trzeba też uszanować jej specyfikę. Wszelkie próby ingerowania w życie polityczne Polonii, próby dyktowania kierunków politycznych, przekreślą taką możliwość.

Ta kwestia ma też swoją drugą stronę. Również w Polsce przewiduje się w budżecie państwa pewne środki na wspieranie kultury mniejszości narodowych żyjących wśród nas. Są one za słabe, by podtrzymywać swoją specyfikę kulturową samodzielnie. Trzeba im pomagać i jak najmniej się wtrącać. Tu jednak pewna istotna uwaga. Mniejszościom tym wolno prowadzić swoją działalność kulturową bez oglądania się na to, czy nam to się podoba, czy też nie. Ale to, co jest robione za pieniądze państwa polskiego, nie może być antypolskie. I tu znowu mamy element cenzury. Jeżeli jakieś piśmiennictwo wydawane przez mniejszość narodową w Polsce zacznie drukować teksty antypolskie, przedstawiać zdarzenia z zakresu wzajemnych stosunków w sposób godzący w dobre imię Polski i Polaków, to wydawcy muszą wiedzieć, że ryzykują utratę subwencji państwowej – i takie sankcje muszą być od czasu do czasu stosowane, by nie były tylko czczą pogróżką.

## Z nadzieją w przyszłość

Tak już jest, że polityk musi się zajmować głównie problemami, trudnościami, kłopotami, smutkami. Musi szukać sposobów na rozwiązywanie spraw, które przynosi polityczna codzienność. W rezultacie więcej myślimy, mówimy i spieramy się na tematy dotyczące negatywów naszego życia społecznego niż na temat jego stron pozytywnych. Powstaje obraz mało optymistyczny. Tymczasem właśnie z optymizmem trzeba patrzeć w przyszłość. Trzeba żyć z wiarą, że będzie lepiej, że uporamy się z trudnościami, że podołamy.

Polska jest krajem z przyszłością. Mamy wiele atutów i musimy być świadomi, że je posiadamy. Spróbuję te atuty zasygnalizować.

Jesteśmy narodem doświadczonym przez historię. Nigdy nie było nam łatwo. To spowodowało, że jesteśmy zahartowani, twardzi. Potrafimy stawiać przeciwnościom czoło. Łatwo nie poddajemy się. Gdy pojawiają się trudności, zakasujemy rękawy i staramy się nasz los poprawić. Nie popadamy w apatię, rozpacz czy bierność. Nie czekamy aż ktoś nam pomoże, tylko sami organizujemy się. Wszelka poprawa losu przychodzi z oddolnej inicjatywy, ze społecznej mobilizacji do walki o lepsze jutro. Szczególnie zdolni jesteśmy do działania w sytuacjach wymagających improwizowania, przy braku ustalonych reguł postępowania, gdy liczy się inicjatywa, a nie jedynie wykonywanie poleceń. Ta cecha naszego polskiego charakteru jest jednym z największych naszych atutów. Tak musimy zorganizować nasze życie społeczne by tej zdolności do oddolnego poprawiania rzeczywistości nie ograniczać. Polak potrafi! Tylko pozwólmy mu.

Jesteśmy narodem ludzi wykształconych i chcących się kształcić. U nas pęd do nauki jest ogromny. W modzie jest nie tylko zdobywanie dyplomów i stopni naukowych, ale i samokształcenie, zdobywanie wiedzy dla samej satysfakcji jej posiadania. Mimo telewizji, filmów, internetu, ciągle czytelnictwo u nas jest duże. Ludzie mądrzy, wykształceni, to ogromny kapitał. Nie pozwólmy by nam uciekali za granicę. Stwórzmy im godziwe warunki pracy w Polsce.

Jesteśmy narodem przywiązany do Ojczyzny, do tradycji, do wartości rodzinnych, do wiary ojców. Jak cały świat zachodni jesteśmy zagrożeni liberalizmem, ale na ogół skuteczniej niż inni bronimy tradycyjnych wartości. Nie pozwoliliśmy zepchnąć Kościoła na margines życia społecznego. Staramy się żyć jego nauczaniem. Mówi się, że Polacy są nienowocześni, bo się sentymentalnie trzymają praktyk religijnych i kultu Maryjnego. A w tym właśnie jest nasza siła. Nie pozwoliliśmy zredukować patriotyzmu do ksenofobii czy też tylko do okolicznościowych uroczystości. Żyjemy życiem naszej Ojczyzny. Obchodzi nas jej los.

Mówi się, że Polacy są rozpolitykowani. Tak, obchodzą nas zagadnienia polityczne. Cały Naród żyje sprawami politycznymi. W rezultacie patrzymy politykom na ręce i stawiamy im wymagania, wysokie wymagania. W tym też nasza siła, choć nieraz czujemy się bezsilni wobec bezkarności układów obejmujących biznes, politykę i służby specjalne. Ale i w tej mierze coś się zmienia na lepsze. Komisje sejmowe obnażyły te układy i jest nadzieja, że będą rozbite. Uzyskaliśmy to oddolnym wysiłkiem, w dużej mierze pracą najmniejszego klubu w Sejmie, klubu Ligi Polskich Rodzin. Gdy się wie, o co się walczy, to dużo w Polsce można zrobić.

Jesteśmy krajem średniej wielkości, ale krajem ważnym. Nasza siła wynika nie tylko z naszej liczebności, czy poziomu gospodarczego, ale i z tego, że zajmujemy ważne miejsce geograficzne. Jesteśmy na trasie głównych linii komunikacyjnych Wschód-Zachód oraz Północ-Południe. Kiedyś oznaczało to zagrożenie najazdami. Dzisiaj stanowi źródło możliwych korzyści z usług tranzytowych. Rozwój infrastruktury transportowej (autostrad, kolei, rurociągów, lotnisk, baz przeladunkowych) leży nie tylko w naszym interesie, ale i w interesie z niej korzystających, więc i znajdują się nań zagraniczne środki.

Mamy nie kwestionowane przez sąsiadów granice i uczestniczymy w sojuszu wojskowym gwarantującym nam stabilność sytuacji zewnętrznej.

Jesteśmy krajem bardzo jednolitym ludnościowo. W rezultacie nie mamy większych konfliktów etnicznych i wyznaniowych.

Mamy wielomilionową Polonię, rzeszę Polaków lub ludzi polskiego pochodzenia, rozsianych po całym świecie. Ludzie ci czują sentyment do Polski, tęsknią za nią i nie zapominają o niej. Jak tylko mogą to Polskę wspierają i odwiedzają. Przekłada się to na konkretne korzyści gospodarcze. W oparciu o diasporę łatwiej znaleźć partnerów do interesów. Turystyka polonijna przynosi wymierne dochody. Ponadto, jak wielokrotnie przekonaliśmy się, w chwilach kryzysowych Polonia przychodzi z bezpośrednią pomocą. Dochodzi do tego troska o dobre imię Polski po świecie. To Polonia pierwsza zauważa i reaguje na wszelkie krzywdzące Polskę wypowiedzi.

Mamy piękny i bogaty kraj. Mamy dobrą ziemię rolną, która jest w stanie nas wszystkich wyżywić i jeszcze wyprodukować na eksport. Mamy bogate złoża różnych kopalin. Mamy też ogromny potencjał energetyczny w rozpoznanych, choć jeszcze prawie nie ruszonych zasobach geotermicznych. Mamy dobrze zagospodarowane i dla wszystkich dostępne lasy, których zazdroszczą nam inne kraje europejskie. Utrzymaliśmy sielski krajobraz wiejski i uczuciowo przywiązaną do niego ludność. Mamy miasta pełne ciekawych zabytków.

Mamy dorobek duchowy minionych pokoleń. Piękną poezję i powieści. Piękną muzykę i malarstwo. Mamy słynnych ludzi nauki, którzy po świecie rozsławili imię Polski. Mamy historię, której nie musimy się wstydić.

Uwierzmy we własną wartość i siłę. Patrzmy z nadzieją w przyszłość.

## Rada Konsultacyjna

Ostatnio z wielu stron stawia mi się zarzut, że współpracowałem z gen. Jaruzelskim, ponieważ byłem członkiem Rady Konsultacyjnej. Zwracają też się do mnie ludzie mi przyjaźni z prośbą o wytłumaczenie, o co chodzi. Chcą wiedzieć, co odpowiadać, gdy się z tym zarzutem spotykają. Zarzut jest bez sensu, ale może on funkcjonować tylko dlatego, że dzisiaj już mało kto pamięta, czym była Rada Konsultacyjna. Koniecznych jest kilka wyjaśnień:

1) Zarzut stawiany jest głównie przez środowisko KOR-owskie (*Gazeta Wyborcza*, Unia Wolności), które odmówiło wejścia do Rady Konsultacyjnej i czyni sobie z tego dzisiaj laur politycznej poprawności. Tymczasem to właśnie środowisko KOR-owskie zawarło porozumienie z gen. Jaruzelskim w Magdalence i przy Okrągłym Stole (podział władzy, gruba kreska). Dzisiaj, gdy staje się coraz bardziej oczywiste, że to porozumienie nie było dla Polski wyłącznie pozytywne, próbuje się wmówić niezorientowanym, że to Rada Konsultacyjna bliżej współpracowała z gen. Jaruzelskim niż uczestnicy Okrągłego Stołu. Otóż Rada Konsultacyjna żadnego porozumienia lub uzgodnienia z rządem czy gen. Jaruzelskim nie dokonała ani ku temu nie zmierzała.

2) Zarzut stawiany jest w kontekście tajnej współpracy z władzami PRL, w związku z tematem teczek, służb specjalnych i tajnych współpracowników. Autorzy zarzutu mają nadzieję, że dziś już nikt nie pamięta, że Rada Konsultacyjna działała jawnie. Wszystko, co na posiedzeniach Rady było mówione, natychmiast było w pełni drukowane, bez cenzury, co stanowiło wyłom w praktyce PRL. Autoryzowane protokoły ukazywały się najpierw w piśmie *Rada Narodowa*, a po zakończeniu pracy Rady – w specjalnie wydanych dwóch tomach. Każdy może sprawdzić, o czym tam mówiłem. Natomiast porozumienie w Magdalence ma do dziś swoje nieujawnione kulisy. Gdy jakiś czas temu Kiszczak ujawnił fragmenty tajnych nagrań filmowych rozmów w Magdalence, ze środowisk KOR-owskich posypały się pretensje o złamanie poufności i domaganie się utajnienia wszelkich innych nieznanych jeszcze nagrań i podsłuchów. Uczestnicy Magdalence czegoś się wstydzą. Myśmy w tym samym czasie apelowali o coś wręcz przeciwnego: o odebranie Kiszczakowi wszelkich nagrań, które posiada od PRL-owskich służb specjalnych wówczas mu podlegających, aby wszystko w pełni ujawnić.

3) By zaprzestać łączenia tematu Rady Konsultacyjnej z tajnymi teczkami, udostępniłem mediom moją własną teczkę. Już parę lat temu wystąpiłem do IPN o uznanie mnie za pokrzywdzonego i wydanie mi mojej teczki. Tak się stało. Co w mojej teczce jest, media już przeanalizowały i parę artykułków na ten temat było. Głównie *Gazeta Wyborcza* pastwi się nad tym, o czym to ja rzekomo w różnych latach mówiłem, a co służby specjalne po swojemu odnotowywały. Wyrzywały one moje wypowiedzi z kontekstu lub nie do końca je rozumiały, a i obecnie *Gazeta Wyborcza* dodatkowo wyrzywa je z kontekstu. Nie odpowiadam za nieautoryzowane przeze mnie teksty, ale w zasadzie niczego z mojej działalności odnotowywanej przez SB się nie wypieram. Wszyscy mogą sobie moją teczkę przeczytać i apeluję do innych uczestników życia politycznego, by zrobili to samo, czyli ujawnili swoje te czki. Apel ten kieruję szczególnie do Adama Michnika, Heleny Łuczywo, Krzysztofa

Kozłowski, a także Lecha Kaczyńskiego i innych kandydatów na urząd prezydenta RP. Najpierw pokażcie swoje teczki, a potem porównamy, co o kim pisali agenci.

4) Zarzut udziału w Radzie Konsultacyjnej jak na razie stawiany jest tylko mnie. Składała się ona z 56 osób, w tym około połowa to byli ludzie obozu rządzącego w PRL, w większości byli ministrowie, sekretarze itd., a połowa to ludzie opozycji, którzy przyjęli zaproszenie do Rady. Do udziału w pracach Rady zachęcały władze kościelne. Mimo nalegań Prymasa Glempa środowiska KOR-u i *Tygodnika Powszechnego* odmówiły, ale przecież na nich gremia opozycyjne się nie kończyły. W tym czasie byłem wiceprzewodniczącym Rady Prymasowskiej i przed wstąpieniem do Rady Konsultacyjnej upewniłem się, że Prymas nie będzie miał o to do mnie pretensji. Do Rady Konsultacyjnej należało też trzech innych byłych członków Rady Prymasowskiej (prof. Krzysztof Skubiszewski, Andrzej Świącicki i Julian Auleytner). Byli też ludzie, którzy aktywnie uczestniczyli w strukturach „Solidarności” (mec. Władysław Siła Nowicki, prof. Andrzej Tymowski, Jan Kułaj, Stanisław Zawada). Z bardziej znanych osób wymienić można Marka Kotańskiego, aktora Jerzego Trełę, reżysera Kazimierza Dejmka, prof. Józefa Gierowskiego, prof. Aleksandra Gieysztor, prof. Gerarda Labudę, prof. Aleksandra Legatowicza i innych.

5) Stawia mi się zarzut, że moje wypowiedzi miały wydźwięk prorosyjski, a więc prokomunistyczny. To nieprawda. Wypowiadałem się zdecydowanie przeciwko komunizmowi, socjalizmowi i wszelkim tendencjom lewicowymi, natomiast uważałem i uważam, że trzeba z Rosją utrzymywać dobre stosunki gospodarcze i polityczne, ale na zasadzie partnerskiej. Uczestnicy „okrągłego stołu”, zarówno lewica jak ci, co dziś stanowią PO, PiS i UW (demokracy.pl) przyjęli strategię odwrotną i w rezultacie pogorszyliśmy stosunki z Rosją, co wykorzystali Niemcy, a komuniści nadal nami rządzą. Rozwój sytuacji w Rosji budzi dziś u nas duży niepokój.

6) Zarzut najczęściej sformułowany jest w taki sposób, że sugeruje, iż łączyła mnie jakaś wyjątkowa bliskość z Jaruzelskim („współpracownik”, „bliski doradca” itp.). Praca Rady wyglądała następująco: w sumie było 12 posiedzeń Rady w okresie od grudnia 1986 do lipca 1989, czyli odbywały się one mniej więcej co dwa miesiące. Posiedzenie otwierał gen. Jaruzelski, wprowadzając jakiś temat, a potem uczestnicy zabierali głos, zwykle w niewielkim związku z zadaniem tematem. Część opozycyjna Rady, w tym ja, stawialiśmy władzy różne zarzuty, zgłaszaliśmy pretensje, sugerowaliśmy, co trzeba w Polsce zmienić. Posiedzenia trwały od godziny 11.00 zwykle mniej więcej do północy. Jaruzelski cały czas robił notatki. Potem nam odpowiadał, bardzo drobiazgowo. Rozchodziliśmy się zwykle około 2 czy 3 w nocy.

7) Za udział w pracach Rady nie otrzymywaliśmy żadnego honorarium. Jedynie zwracano nam koszta przyjazdu (tzw. delegację).

8) Politycznie Rada Konsultacyjna była ze strony rządu ograniczoną ofertą dopuszczenia opozycji do nieocenzurowanego głosu. Czy w czasach pełnej cenzury prewencyjnej należało z tego skorzystać? Były w Polsce pisma koncesjonowane, jak np. *Tygodnik Powszechny* czy *Słowo Powszechne*, które przez cały czas istnienia PRL miały prawo wychodzić i karmić czytelników słowem, rzekomo opozycyjnym, ale w rzeczywistości cenzurowanym. Uznałem, że należało skorzystać z możliwości mówienia publicznie bez cenzury. Cała Polska rozczytywała się w protokołach z Rady Konsultacyjnej, bo tam był głos wolny.

9) I oto mój udział w Radzie Konsultacyjnej redaktor *Tygodnika Powszechnego* Krzysztof Kozłowski komentuje w następujący sposób w *Gazecie Wyborczej* (11.I.05): „*Lista, której publikację proponuje LPR jest niepełna. Od lustratorów i dekomunizatorów wymagam konsekwencji: jak wszyscy, to wszyscy. Jeżeli haniebne jest bycie tajnym współpracownikiem i funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa, to pytam: W czyich rękach była SB? Proszę o podanie listy ludzi, którzy sterowali SB na szczeblu Komitetu Centralnego i Biura Politycznego PZPR, i ludzi, którzy im pomagali. Na tej liście widziałbym Macieja Giertycha, eurodeputowanego LPR i kandydata Ligi na prezydenta, który był w latach 80. członkiem Rady Konsultacyjnej przy gen. Jaruzelskim. Jeżeli ścigamy i piętnujemy funkcjonariuszy, ścigajmy też tych, którzy nimi kierowali. Szkodliwość działań tajnego współpracownika nie da się porównać ze szkodliwością osób, które wydawały mu polecenia.*”

Oto klasyczne odwracanie kota ogonem. Krzysztof Kozłowski, były wiceminister spraw wewnętrznych wówczas, gdy ministrem był gen. Czesław Kiszczak, stawia mi zarzut, że współpracowałem ze służbą bezpieczeństwa i kierowałem jej funkcjonariuszami oraz tajnymi współpracownikami. Oczywiście tę wypowiedź Kozłowskiego zaskarżyłem do sądu jako naruszającą moje dobra osobiste.

10) Z perspektywy czasu udział w Radzie Konsultacyjnej oceniam jako błąd, bo nic to nie dało. Jaruzelski dogadał się ze środowiskiem KOR-u, dzieląc się z nim władzą i tym samym zapewniając swemu środowisku bezkarne trwanie na arenie politycznej do dzisiaj.

## Spis rzeczy

Dziedzictwo  
Osoba-rodzina-naród  
Pomocniczość  
Demokracja dzisiaj  
Polska w Unii  
Niemcy, Rosja i kwestia polska  
USA-Irak  
Kraje odległe  
Bezrobocie  
Program pro-rodzinny  
Zdrowie  
Renty i emerytury  
Nauka i edukacja  
Obrona  
Kultura  
Z nadzieją w przyszłość

ANEKS

Rada Konsultacyjna